

**ROBERT E. HOWARD**

**PŁOMIEŃ ASSURBANIPALA**

**(Przełożył: Piotr W. Cholewa)**

## **SKRZYDŁA WŚRÓD NOCY**

### **1. Pal grozy**

**Wsparty na swej przedziwnie rzeźbionej lasce Solomon Kane z posępnym zadziwieniem spoglądał na widniejącą przed nim tajemnicę. Zbyt wiele już widział opuszczonych wiosek od czasu gdy zwrócił twarz ku wschodowi i opuścił Wybrzeże Niewolnicze, by zagubić się w labiryncie dżungli i rzek, żadna jednak nie była podobna do tej właśnie. To nie głód wygnał jej mieszkańców – niedaleko od wsi dostrzegł zagony wybujałego dzikiego ryżu. Arabscy łowcy niewolników także nie zapuszczali się do tej odległej krainy. Tę wieś musiała spustoszyć jakaś wojna plemienna – zdecydował przyglądając się porozrzucanym wśród traw i zarośli kościom i szczyrzącym zęby czaszkom. Były pokruszone i połamane. Spostrzegł szakala i hienę, ostrożnie przekradające się pomiędzy walającymi się chatami. Ale dlaczego napastnicy porzucili swój łup? Na ziemi leżały oszczepy wojenne o drzewcach rozsypujących się po licznych atakach termitów oraz próchniejące w deszczu i słońcu tarcze. Na szyi jednego ze szkieletów połyskiwał naszyjnik z jaskrawo**

malowanych kamyków – cenna przecież zdobycz dla każdego najeźdźcy.

Przyjrzał się chatom. Dziwne: kryte słomą strzechy wielu z nich były poszarpane, porozdzierane, jak gdyby jakieś uzbrojone w szpony stworzenia próbowały dostać się do wnętrza z góry. I wtedy coś zobaczył; jego oczy aż się zwęziły pod wpływem zdumienia i niedowierzania. Tuż za wzniesieniem butwiejących szczątków, które kiedyś były częścią palisady, wznosił się olbrzymi baobab. Do wysokości sześćdziesięciu stóp w ogóle nie miał gałęzi, a jego pień był zbyt gruby, by można się było po nim wspiąć. Mimo to spośród najwyższych gałęzi zwisał szkielet, najwyraźniej wbity na ułamany konar. Solomon Kane poczuł, jak na jego ramieniu zaciska się zimna dłoń tajemnicy. W jaki sposób te żałosne szczątki znalazły się na drzewie? Czyżby rzuciła ja tam nie ludzka łapa jakiegoś potwora?

Kane wzruszył ramionami, a jego dłoń mimowolnie ześliznęła się do pasa, ku czarnym kolbom ciężkich pistoletów i rękojeściom długiego rapiera i sztyletu. Nie odczuwał lęku, który ogarnąłby zwykłego człowieka, gdyby stanął twarzą w twarz z Nieznanym i Bezimiennym.

Lata włóczęgi po dziwnych krainach i starć z niezwykłymi stworami pozbawiły jego umysł, ducha i ciało wszystkiego, co nie było twarde jak fiszbin i stal. Wysoki, szczupły, prawie chudy, zbudowany był z ekonomią typową dla wilka. Szerokie ramiona, długie ręce, nerwy jak postronki i żelazne mięśnie dopełniały obrazu tego urodzonego zabójcy i szermierza. Ciernie i kolce dżungli obeszły się z nim bezlitośnie. Ubranie i przekrzywiony kapelusz bez pióropusza zwisały w strzępach, skórzane buty z Kordoby były znoszone i wytarte. Słońce spiekło na ciemny brąz jego pierś i ramiona, lecz ascetycznie szczupła twarz zdawała się niewrażliwa na jego promieni. Miał dziwną, ciemnobłądą cerę, która nadawała mu wygląd niemalże trupa; jedynie jasne, zimne oczy przeczyły temu wrażeniu.

Po chwili Kane, raz jeszcze obrzuciwszy wioskę uważnym spojrzeniem, poprawił pas, przerzucił do lewej ręki ozdobioną rzeźbioną głową kota laskę, którą dawno temu dał mu N'Longa, i ruszył przed siebie.

Na zachód od wioski wyrastał rzadki pas lasu, przechodzący w szerokie pasmo sawanny – falującego morza traw sięgających człowiekowi do piersi, czasami nawet jeszcze wyższych. Dalej znowu las, szybko

przeradzający się w gęstą dżunglę. To stamtąd Kane uciekł niby ścigany wilk, a jego ciepłym jeszcze tropem podążali czarni ze spiłowanymi w szpic zębami. Jeszcze teraz z lekkim podmuchem dochodził tu cichy głos bębnów, które poprzez mile dżungli i stepu szeptały swą straszną opowieść o nienawiści, żądzy krwi i łaknieniu żołądków.

W umyśle Kane'a wciąż była żywa pamięć tej ucieczki i nieomal nieuchronnej śmierci. Zbyt późno, bo dopiero wczoraj, zorientował się, że dotarł do kraju ludożerców. Całe popołudnie biegł wśród cuchnących oparów gęstej dżungli, czołgał się, krył, kluczył i przecinał własne ślady, a tuż za plecami wciąż czuł obecność strasznych łowców. Przewagę zdobył dopiero z nadejściem nocy, gdy pod osłoną ciemności przekroczył pas stepu. Teraz, późnym rankiem, nie widział ani nie słyszał swoich prześladowców, nie miał jednak powodów, by wierzyć, że zaniechali pościgu. Kiedy wchodził w sawannę, następowali mu na pięty.

Solomon Kane spoglądał na rozciągającą się przed nim krainę. Na wschodzie wznosiło się łukiem zakrzywionym ku północy i południowi pasmo gór, na ogół nagich i łysych. Na południu ciągnęły się aż po horyzont, a

ich poszarpane kontury przypominały Kane'owi czarne wzgórza Negari. Bliżej znajdował się łagodnie sfałdowany teren, zadrzewiony wprawdzie dość gęsto, lecz o ileż mniej gęsto niż dżungla. Wydawało się, że jest to rozległy płaskowyż, od wschodu zamknięty górami, a od zachodu sawanną.

Purytanin ruszył na wschód długim, płynnym, nie znajdującym zmęczenia krokiem. Gdzieś za nim skradały się czarne diabły i nie miał ochoty znaleźć się w ślepym zaułku. Wprawdzie mogło się zdarzyć, że wystrzał zmusi przeciwników do pełnej przerażenia ucieczki, znajdowali się oni jednak tak nisko na drabinie człowieczeństwa, że w ich tępych mózgach mogło to nie wywołać żadnych skojarzeń ani lęku przed czymś nadnaturalnym. A nawet Solomon Kane, którego sir Francis Drake nazywał królem mieczy Devonu, nie potrafiłby wygrać narzuconej mu bitwy z całym szczepem.

Została z tyłu milcząca wieś i ciężar jej sekretów i śmierci. Na tajemniczej wyżynie panowała absolutna cisza. Nie słychać było śpiewu ptaków i tylko niema ara przemykała między konarami drzew. Zakłócały tę ciszę

**jedynie kocie kroki Kane'a i niosący głos bębnów szeptał wiatru.**

**Nagle Anglik zobaczył między drzewami obraz, którego nieoczekiwana groza sprawiła, że jego serce zabiło szybciej. Kilka chwil później stał oko w oko z samą Grozą, straszliwą i całkowitą. Pośrodku rozległej polany wbity był pal, do którego przywiązano coś, co kiedyś było czarnym człowiekiem. Kane wiosłował niegdyś w łańcuchach na tureckiej galerze, harował w winnicach Barbarii, walczył z czerwonoskórymi Indianami w Nowym Świecie i mdlał z bólu w lochach hiszpańskiej Inkwizycji. Wiedział, jak nieludzcy potrafią być ludzie. Lecz wstrząsały nim nie potworność ran, choć były straszne, ale to, że ten ludzki strzęp żył jeszcze. Gdy bowiem zbliżał się, uniosła się zwieszona na poharataną pierś głowa. Miotana z boku na bok, bryzgała krwią z resztek uszu, a spomiędzy obdartych ze skóry warg wydobywał się zwierzęcy szloch.**

**Przemówił do tego stworzenia, a ono wrzasnęło ogłuszająco, wijąc się w niesamowitych skrętach. Szarpało głową w dół i w górę i zdawało się, że próbuje coś dojrzeć pustką martwych, rozwartych oczodołów. Jęcząc głucho istota kulila swe umęczone ciało przy palu, do którego była**

przywiązana. Uniosła głowę, jak gdyby nasłuchując, jakby oczekiwała czegoś od nieba.

- Nie lękaj się – powiedział Kane dialektem plemion rzecznych. – Nie zrobię ci krzywdy. Nic już nie zrobi ci krzywdy. Uwolnię cię.

Mówiąc to miał gorzką świadomość pustki swych słów, lecz głos jego obudził jakieś niewyraźne skojarzenia w oszalałym, konającym umyśle Murzyna. Spomiędzy pokruszonych zębów dobiegły słowa, niepewne i ciche, nieskładne i przerywane ślinieniem się i bełkotem. Ten ludzki strzęp mówił językiem pokrewnym narzeczm, których w czasie swych długich wędrówek Kane nauczył się od przyjaznego mu ludu rzeki. Zrozumiał więc, że ofiara tkwi przy palu już długo – wiele księżyców mamrotał Murzyn w malignie nadchodzącej śmierci – a przez cały ten czas złe istoty zabawiały się nim wedle swych nieludzkich zachcianek. Wymienił ich nazwę, lecz Anglik jej nie rozumiał. Słowo brzmiało jak *akaana*. Lecz to nie owe *akaana* przywiązały go tutaj. Umęczony zewłok wybełkotał imię Goru, który był kapłanem i który zbyt mocno zacisnął sznur na jego nogach. Kane zdziwił się, w jaki sposób wspomnienie tak niewielkiego bólu zdołało



przebyć krwawe labirynty tortur, skoro Murzyn pamiętał ten ból nawet teraz.

Na dodatek, ku przerażeniu Kane'a, czarny mówił o swoim bracie, który pomagał go przywiązywać. Szlochał przy tym jak dziecko, a wilgoć tworzyła krwawe łzy w pustych oczodołach. Bełkotał coś o oszczepach, połamanych przed laty podczas jakichś zapomnianych już łowów. Solomon delikatnie rozciął Murzynowi więzy i złożył na trawie umęczone ciało. Starał się być ostrożny, ludzki wrak wił się jednak i skamlał jak zdychający pies, a krew pociekła na nowo z licznych szram. Kane zauważył, że rany wyglądają raczej na zadane przez kły i szpony niż przez noże i włócznie.

Wreszcie praca dobiegła końca i zakrwawione, wymęczone ciało spoczęło na miękkiej murawie ze starym, obwisłym kapeluszem Kane'a pod głową. Murzyn rzeźił ciężko.

Anglik otworzył manierkę i wlał między pokaleczone wargi kilka kropel wody.

- Opowiedz mi o tych diabłach – rzekł pochylając się.  
– Na Boga mego ludu! ta zbrodnia zostanie pomszczona, choćby sam szatan stanął mi na drodze.

Wątpić należy, czy te słowa dotarły do konającego. Kane usłyszał za to inny dźwięk. Ara, z typową dla swego gatunku ciekawością, wyleciała z pobliskiego zagajnika i przefrunęła tak nisko, że jej wielkie skrzydła musnęły włosy Europejczyka. Na głos uderzeń tych skrzydeł Murzyn uniósł się i krzyknął, a Kane wiedział, że krzyk ten do śmierci będzie prześladował go w sennych koszmarach.

- Skrzydła! Skrzydła! Znowu nadchodzą! Och, łaski, skrzydła!

Z jego ust strumieniem bluznęła krew. Po chwili już nie żył.

Kane wstał i otarł zroszone lodowatym potem czoło. Las jak zaczarowany znieruchomiał w skwarze południa, a nad ziemią zaległa cisza. Anglik spojrzał w zadumie na pasmo czarnych, nieprzyjaznych gór, piętrzących się w dali, na odległe sawanny. Na tej tajemniczej krainie ciążyła pradawna klątwa, okrywająca cieniem duszę purytanina.

Delikatnie podniósł krwawy zewłok, w którym tętniły kiedyś życie, młodość i radość. Złożył go na skraju polany i najlepiej jak umiał poukładał zimne członki. Raz jeszcze zadrżał, spojrzawszy na straszliwe okaleczenia, a potem

ułożył na zwłokach kopiec kamieni tak duży, by nawet wężące kojoty nie zdołały odgrzebać ukrytego pod nim ciała.

Ledwie skończył, coś wywarło go z posępnej zadumy i uświadomiło jego własną sytuację. Jakiś cichy dźwięk, a może tylko jego wilczy instynkt, sprawił, że obejrzał się. Coś poruszyło się na drugim końcu polany i wśród wysokich traw dostrzegł obrzydliwą, czarną twarz z kółkiem z kości słoniowej w płaskim nosie, rozwarte grube wargi, odsłaniające zęby, których spiłowane czubki widoczne były nawet z tej odległości, oczy jak paciorki, niskie, cofnięte czoło zwieńczone grzywą kędzierzawych włosów. Nim ta twarz zdążyła się skryć, Kane skoczył pod osłonę drzew, otaczających polanę. Gnał jak chart, klucząc między pniami. W każdej chwili spodziewał się, że usłyszy triumfalny wrzask łowców i zobaczy ich, jak się wyłaniają z krzaków tuż za min.

Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że najwyraźniej ścigali go tak, jak niektóre drapieżniki tropią swoją zdobycz, wolno i nieubłaganie. Szedł przez las, wykorzystując każdą osłonę, i nie dostrzegł nawet śladu prześladowców. Wiedział jednak, jak wie ścigany wilk, że

krażą wokół niego i czekają sposobnej chwili, by go zaatakować nie narażając własnej skóry. Kane uśmiechnął się ponuro, bez radości. Jeżeli ma to być próba wytrzymałości, to jeszcze zobaczymy, jak mają się mięśnie tych dzikusów do jego żelaznej odporności. Niech tylko zapadnie noc, a zdoła się jeszcze wysliznąć. Jeżeli nie... w głębi serca był przekonany, że anglosaska waleczność burząca się na samą myśl o ucieczce niedługo już zmusi go, by odwrócił się i walczył, choć przeciwnicy najprawdopodobniej stukrotnie przewyższają go liczbą.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Kane był głodny. O świcie pochłonął resztkę suszonego mięsa i od tego czasu nic nie miał w ustach. Źródła, na które się czasami natykał, dostarczały mu wody, a raz zdawało mu się, że daleko między drzewami dostrzega dach dużej chaty. Obszedł ją z daleka. Trudno było uwierzyć, że ten tak cichy płaskowyż jest zamieszkany, lecz gdyby tak było, to jego mieszkańcy bez wątpienia okazaliby się nie mniej okrutni od tych, którzy go ścigali.

Teren stawał się coraz bardziej nierówny. Pojawiły się poszarpane wzniesienia i strome zbocza. Kane zbliżał się do stóp milczących gór. Wciąż nie widział swych

prześladowców. Jedynie kiedy oglądał się za siebie, dostrzegał nieznaczne poruszenia, jakiś przemykający cień, chylącą się trawę, prostującą się nagle gałązkę, ruch wśród liści. Dlaczego są tacy ostrożni? Czemu nie podejną i nie zakończą tej zabawy?

Zapadła noc. Kane dotarł do zboczy, wiodących ku podnóżom gór, które czarne i groźne wznosiły się teraz ponad nim. Były jego celem, miał nadzieję, że tam zmyli swych prześladowców. A jednak czuł, jak odpycha go od nich jakaś dziwna niechęć. Kryło się w nich tajemne zło, wstrętne niby zwoje śpiącego w trawie wielkiego węża. Panowała nieprzenikniona ciemność i tylko gwiazdy mrugały czerwono w ciężkim skwarze tropikalnej nocy. Kane zatrzymał się na chwilę w niezwykle gęstym zagajniku. Dalej drzewa przerzedzały się. Usłyszał cichy dźwięk, nie będący jednak szumem nocnego wiatru – żaden bowiem podmuch nie kołysał ciężkimi liśćmi. Odwracając się dostrzegł jakiś ruch w mroku. Niewyraźny cień skoczył na niego ze zwierzęcym rykiem. Uniknął ciosu dzięki gwiazdom, które odbijały się w ostrzu; poczuł, że oplatają go szczuple, żylaste ramiona, a spiczaste zęby wbijają się w ciało. Walczył z żarciem. Jego postrzępiona

koszula trzasnęła pod wyszczerbioną klingą. Tylko przypadkiem zdołał pochwycić trzymającą żelazny nóż rękę. Wyszarpnął sztylet. Czuł nieprzyjemny dreszcz, w każdej chwili oczekując włóczni w plecach.

Zastanawiał się, dlaczego inni nie przychodzą z pomocą swemu towarzyszowi, lecz nie przeszkadzało mu to walczyć z całą mocą swych stalowych mięśni. Zwarci, kołysali się i wili w ciemnościach, a każdy z nich starał się wbić ostrze w ciało przeciwnika. Konwulsyjne szarpnięcia rzuciły ich na oświetloną blaskiem gwiazd polanę i Kane dostrzegł kółko z kości słoniowej w szerokim nosie i spiczaste zęby, które jak zęby dzikiej bestii sięgały do jego krtani. Zdołał odepchnąć w dół i do tyłu trzymającą jego nadgarstek rękę i wbił sztylet głęboko między żebra Murzyna. Wojownik wrzasnął, a w powietrzu rozszedł się drażniący, ostry zapach krwi. W tej samej chwili uderzenia wielkich skrzydeł powaliły Kane'a, ogłuszonego, na ziemię, a jego przeciwnik znikł z krzykiem śmiertelnego strachu. Kane, wstrząśnięty do głębi, skoczył na nogi. Cichnący krzyk półzywego kanibala dobiegał gdzieś z góry.

Nateżył wzrok. Wydało mu się, że na tle nocnego nieba dostrzega przesłaniające gwiazdy bezkształtne, straszne Coś – wijące się ludzkie członki, wielkie skrzydła i niewyraźna sylwetka – co znikło tak szybko, że nie był pewien, czy istotnie to widział.

Zastanawiał się, czy całe zajście nie było jedynie sennym koszmarem. Lecz macając między korzeniami odnalazł swą laskę ju – ju, za pomocą której odparował cios krótkiego oszczepu, leżącego teraz obok. A gdyby potrzebował dalszych dowodów, miał jeszcze własny splamiony krwią sztylet.

Skrzydła! Skrzydła wśród nocy! Szkielet w wiosce, poszarpane strzechy chat, okaleczony Murzyn, którego rany nie pochodziły od noża ani włóczni i który skonał krzycząc o skrzydłach! Z pewnością kraina ta to teren łowiecki gigantycznych ptaków, które z ludzi uczyniły swój łup. Lecz jeśli to ptaki, to dlaczego nie pożarły do końca tego nieszczęśnika przy palu? A zresztą w głębi serca Kane nie wierzył, by jakikolwiek ptak mógł rzucać taki cień, jaki przesłaniał gwiazdy.

Wzruszył ramionami. Panowała cisza. Gdzie podziła się reszta kanibali ścigających go od dalekiej dżungli?

**Czyżby los ich towarzysza skłonił ich do ucieczki? Spojrzał na swe pistolety. Trudno, ludożercy czy nie ludożercy, tej nocy nie wejdzie pomiędzy te mroczne wzgórza.**

**Teraz musi się przespać, choćby jego tropem dążyły wszystkie demony Starego Świata. Dobiegający od zachodu głuchy ryk ostrzegał go, że drapieżne bestie wyszły na łów. Szybkim krokiem ruszył w dół i dotarł do gęstego zagajnika, w pewnej odległości od miejsca, gdzie pokonał ludożercę. Wspiął się wysoko pomiędzy potężne konary drzewa i znalazł rozwidlenie, w którym pomieścić się mogła nawet jego wysoka postać. Gałęzie nad głową chroniły go przed atakiem każdego skrzydlatego stwora, a gdyby dzicy czaili się w pobliżu, to zbudzi go odgłos ich wspinania się – spał bowiem lekko niczym kot. Co do węży i leopardów, to tysiące razy podejmował już takie ryzyko.**

**Solomon Kane zasnął, a jego sny były mgliste, chaotyczne, przepelnione lękiem przed złymi mocami, pochodzącymi z epok poprzedzających nadejście człowieka. Potem przerodził się w wizję tak wyraźną, jakby przeżywał to wszystko na jawie. Śnił, że budzi się nagle i sięga po pistolet – tak długo już wiódł życie dzikiego wilka, że wydobycie broni było jego naturalną**



reakcją na każde nagłe przebudzenie. Śnił, że na gałęzi przed nim przysiadło dziwne, ledwie widoczne stworzenie i patrzyło na niego wygłodniałymi lśniącymi, żółtymi oczyma, których spojrzenie zdawało się wdzierać we wszystkie zakamarki jego mózgu. Sama zjawa była wysoka, szczupła, o dziwnie zniekształconej sylwetce i tak zlewająca się z mrokiem, że wydawałaby się tylko cieniem, gdyby nie wąskie, żółte oczy. Kane śnił, że trwa jak zaczarowany, a w tych oczach pojawia się niepewność, że istota odchodzi po gałęzi tak, jak szedłby człowiek, a potem rozwija wielkie, szare skrzydła, daje susa w przestrzeń i znika. Wtedy Kane zerwał się na nogi. Opary snu rozwiewały się powoli.

W słabym świetle gwiazd nie widział nikogo prócz siebie pod gotyckim sklepieniem gałęzi. A więc to tylko sen... a przecież wizja była tak wyrazista, tak pełna nieludzkiej ohydy... jeszcze teraz w powietrzu unosiła się słaba woń przypominająca odór drapieżnych ptaków. Natężył słuch. Pochwycił tchnienie nocnej bryzy, szept liści, ryk lwa – nic więcej. Potem Kane zasnął znowu, a wysoko ponad lasem na wygwieżdżonym niebie krążył cień, zataczając koło jak sęp nad rannym wilkiem.

## **2. Bitwa na niebie**

**Blask świtu oświetlił pasmo gór na wschodzie. Kane przebudził się. Wspomnił nocny koszmar i schodząc z drzewa raz jeszcze zadziwił się jego wyrazistością. W pobliskim strumyku ugasił pragnienie, a kilka rzadko spotykanych w tych okolicach owoców pozwoliło złagodzić głód.**

**Spojrzał ku góróm. Przywykł walczyć do końca, a gdzieś tam miał swą siedzibę okrutny wróg synów człowieczych. Ten fakt stanowił dla purytanina wyzwanie równie silne jak rękawica, rzucona mu kiedyś w twarz przez gorącogłowego eleganta z Devonu.**

**Odświeżony całonocnym snem ruszył przed siebie długim, równym krokiem. Minął zagajnik, który był świadkiem nocnego starcia, i wszedł w rejon, gdzie u stóp wzgórz drzewa rosły coraz rzadziej. Piął się w górę. Przystanął tylko na chwilę, by raz jeszcze spojrzeć na przebytą drogę. Kiedy znalazł się powyżej płaskowyżu, mimo odległości bez trudu dostrzegł opuszczoną wioskę – niewielką grupkę chat z bambusa i gliny. Jedna z nich,**

stojąca na małym wzniesieniu w pewnym oddaleniu od reszty, była większa od pozostałych.

Gdy tak patrzył, nagle z góry runęło nań coś potwornego trzepocząc straszliwymi skrzydłami! Kane odwrócił się zaskoczony. Wszystkie fakty zdawały się potwierdzać teorię polującego nocą skrzydlatego stwora, nie oczekiwał więc napaści w pełnym świetle dnia. Oto jednak pikowało na niego przypominające nietoperza stworzenie jak gdyby ze środka oślepiającej tarczy słonecznej. Dostrzegł potężne, rozpostarte szeroko skrzydła i wyglądającą spomiędzy nich straszliwie ludzką twarz. Wyrwał pistolet i strzelił, a potwór zatoczył się, przekoziółkował i runął u jego stóp.

Pochylony, wciąż trzymając pistolet w dłoni, rozszerzonymi zdumieniem oczami wpatrywał się w trupa. To stworzenie było bez wątpienia demonem z czarnych otchłani piekła, podpowiadała posępna purytańska dusza Kane'a, a przecież zabił je kawałkiem ołowiu. Kane zdziwiony wzruszył ramionami. Choć przez całe życie chodził dziwnymi drogami, nigdy nie wiedział niczego choćby trochę podobnego.

Stworzenie przypominało człowieka, choć było nie po człowieczemu wysokie i nie po człowieczemu chude. Podłużna, wąska, bezwłosa głowa była głową drapieżcy. Uszy miał stwór niewielki, przylegające, dziwnie spiczaste, zmętniałe po śmierci oczy, skośne, niezwyklej żółtawej barwy. Nos był chudy i haczykowaty jak dziób drapieżnego ptaka, usta zaś przypominały szeroką szramę. Skrzywione w grymasie agonii wąskie wargi, na które wystąpiły kropelki piany, odsłaniały wilcze kły.

Poza tym stworzenie, bezwłose i nagie, przypominało istotę ludzką. Miało szerokie, potężne ramiona, szczupłą szyję, długie muskularne ręce. Kciuk wyrastał ze śródrečza tak jak u niektórych gatunków wielkich małp, a wszystkie palce uzbrojone były w solidne, zakrzywione szpony. Pierś miała owa istota dziwnie zniekształconą – niby kil okrętu wystawał mostek, od którego biegły do tyłu żebra. Długie, patykowate nogi kończyły się wielkimi, chwytnymi, podobnymi do dłoni stopami, u których wielki palec położony był przeciwstawnie do pozostałych – jak ludzki kciuk. Pazury u stóp były po prostu długimi paznokciami.

To, co najbardziej niezwykle u tego zdumiewającego stwora, znajdowało się jednak na jego plecach. Otóż z

ramion wyrastała mu para wielkich skrzydeł, ułożonych jak skrzydła ćmy, lecz zbudowanych z naciągniętej na kostny szkielecie skórzastej materii. Zaczynały się nieco z tyłu, poniżej stawu ramieniowego, a kończyły w pół drogi do wąskich bioder. Skrzydła te, ocenił Kane, mogły mieć od końca do końca około osiemnastu stóp.

Anglik złapał potwora i podniósł do góry, wzdrygając się mimowolnie od dotknięci gładkiej, skórzastej błony skrzydeł. Stwór ważył trochę mniej niż połowę tego, co człowiek równy mu wzrostem, czyli mierzący mniej więcej sześć i pół stopy. Najwyraźniej jego kości miały ową szczególną, charakterystyczną dla ptaków budowę, a ciało składało się niemal wyłącznie z mięśni.

Kane cofnął się i jeszcze raz przyjrzał się swej ofierze. A więc jego sen nie był snem i ta odrażająca istota lub inna, podobna do niej, która siedziała obok niego, na gałęzi, była ponurą rzeczywistością...

Uderzyły potężne skrzydła! Coś runęło z nieba! Odwracając się Kane pojął, że popełnił grzech niewybaczalny u wędrowca w dżungli – zdjęty zdumieniem i ciekawością stracił czujność. Następne skrzydlate monstrum sięgało mu już do gardła. Nie było czasu, by

wyjąć drugi pistolet. Dostrzegł tylko diabelską, na pół ludzką twarz między trzepoczącymi skrzydłami, poczuł ból od ich uderzeń, w jego pierś wbiły się ostre szpony; potem stracił grunt pod nogami i rozwarła się pod nim pustka.

Skrzydlaty potwór oplątał nogi człowieka własnymi nogami, trzymając go wbitymi w pierś szponami ze straszną mocą. Wilcze kły sięgały ofierze do gardła, Anglik schwycił jednak kościstą szyję i odepchnął ohydną głowę. Próbował prawą ręką wydobyć sztylet. Ptasia istota wznosiła się wolno w górę i przelotne spojrzenie w dół powiedziało Kane'owi, że są już wysoko ponad koronami drzew. Nie liczył, że przeżyje tę powietrzną walkę. Choćby zabił swego przeciwnika, zginie od upadku na ziemię. A jednak wrodzona zaciekłość nakazywała mu pociągnąć za sobą prześladowcę do zguby.

Wciąż odpychając od siebie ostre zęby Kane zdołał wreszcie pochwycić sztylet i wbić go głęboko w pierś potwora. Człowiek – nietoperz skręcił się gwałtownie, a z jego zduszonej krtani wyrwał się zgrzytliwy, ochrypły wrzask. Rzucał się dziko, bił rozpaczliwie skrzydłami, wyginał grzbiet i wściekle szarpał głową w próżnych wysiłkach uwolnienia jej i zatopienia w gardle ofiary

śmiercionośnych kłów. W męce coraz głębiej wbijał pazury jednej ręki w pierś człowieka, szponami drugiej rozdzierał twarz i ciało wroga. Mimo to poraniony, krwawiący Anglik z milczącą, wytrwałą zawziętością buldoga wciąż mocniej i mocniej zaciskał palce na chudej szyi i raz po raz wbijał ostrze w miękki tułów. A daleko pod nimi zalęknione oczy śledziły tę szalejącą na oszałamiającej wysokości bitwę.

Tymczasem walczący znaleźli się nad płaskowyżem. Słabnące skrzydła potwora z trudem utrzymywały ciężar dwóch ciał. Szybko opadali ku ziemi. Kane, któremu krew i wściekłość przesłaniały wzrok, nic o tym nie wiedział. Z płatem zwisającej z głowy skóry, z poszarpanymi piersiami widział świat jako oślepiający, krwawy krąg, w którym jedno tylko uczucie było wyraźne – nieprzeparta żądza zgładzenia przeciwnika.

Słabe, rozpaczliwe uderzenia skrzydeł konającego potwora utrzymywały ich przez chwilę zawieszonych nad gęstą kępą potężnych drzew. Anglik wyczuł, że uchwyt szponów i oplatających go nóg zelżał, a ciosy pazurów przerodziły się w jałową młóckę. Ostatnim wysiłkiem wbił sztylet w pierś potwora i poczuł, jak jego ciało zadygotało

**konwulsyjnie. Skrzydła zwisły bezwładnie i obaj, zwycięzca i pokonany, jak kamień runęli ku ziemi.**

**Poprzez czerwoną mgłę Kane widział poruszone wiatrem, pędzące im na spotkanie gałęzie, czuł, jak biją go po twarzy i rozdzierają ubranie, gdy spleceni w śmiertelnym uścisku spadali wśród konarów umykających jego wyciągniętej dłoni. Potem uderzył głową o coś twardego i poczuł, jak pochłania go nieskończona, czarna otchłań**



### 3. W cieniu grozy

Przez tysiące lat biegł Kane szerokim, bazaltowoczarnymi korytarzami nocy. Straszne w całkowitej ciemności gigantyczne skrzydlate demony przelatwały nad nim z szumem skrzydeł. Walczył z nimi w mroku, jak zagnany w ślepy zaułek szczur walczy z nietoperzem – wampirem. Bezcielesne wargi szeptały mu straszliwe bluźnierstwa i sekrety wprost do uszu, a jego szukająca pewnego oparcia stopa roztrącała ludzkie czaszki.

Powrót z krainy zwidów był nagły. Powrót do normalności zwiastował widok pochylonej nad nim tłustej, łagodnej czarnej twarzy. Kane stwierdził, że znajduje się w czystej, dobrze wywietrzonej chacie. Z bulgocącego przed wejściem kociołka doleciał go smakowity zapach i Kane zdał sobie sprawę, że jest przeraźliwie głodny. Był też dziwnie słaby – podniesiona do obandażowanej głowy ręka drżała, opalona na brąz skóra nabrała szarej barwy.

Stali przy nim gruby mężczyzna i jeszcze jeden wysoki, szczupły wojownik o posępnej twarzy.

- On się obudził, Kurobo – stwierdził gruby. – Jego umysł powrócił do życia.

Chudy kiwnął głową i krzyknął coś. Z zewnątrz dobiegła odpowiedź.

- Co to za miejsce? – spytał Kane w narzeczu, którego nauczył się dawno temu, a które przypominało język, używany przez tych czarnych. – Jak długo tu jestem?

Gruby Murzyn pchnął go z powrotem na posłanie swymi delikatnymi jak kobiece dłońmi.

- To ostania wieś ludu Bogonda – wyjaśnił. – Znaleźliśmy cię pod drzewami na zboczu. Byłeś ciężko ranny i leżałeś bez zmysłów. Wiele dni bredziłeś w malignie. Teraz jedz.

Do chaty wszedł szczupły, młody wojownik z misą parującego jedzenia. Kane rzucił się na nie łapczywie.

- Wiesz, Kurobo, on jest jak leopard – powiedział z podziwem gruby. – nawet jeden z tysiąca nie przeżyłby takich ran.

- Masz rację, Goru – potwierdził drugi. – I zabił *akaanę*, który go porwał.

Kane z wysiłkiem uniósł się na łokciach.

- Goru? – krzyknął dziko. – Kapłan, który przywiązuje ludzi do pala na uczę dla demonów?

Chciała zerwać się, zadusić grubego Murzyna, lecz słabość zagarnęła go jak fala, chata rozplynęła się we mgle i bez tchu opadł na posłanie. Wkrótce spał już mocnym, zdrowym snem.

Gdy się zbudził, zobaczył koło swego posłania młodą, szczupłą dziewczynę. Miała na imię Nayela. Nakarmiła go. Kane, dużo już silniejszy, zadawał jej mnóstwo pytań, a ona odpowiadała nieśmiało, lecz rozsądnie. Trafił do plemienia Bogonda, którym rządzą wódz Kuroba i kapłan Goru. Nikt tu nie widział jeszcze białego człowieka ani o nim nie słyszał. Ran, które odniósł, nie przeżyłby zwyczajny człowiek. Mimo to Anglik był zdumiony, gdy obliczyła, ile dni leżał nieprzytomny. Dziwił się też, że nie połamał kości spadając, lecz wyjaśniła, że gałęzie wyhamowały prędkość upadku i że wylądował na trupie *akaany*. Spytał o Goru i po chwili tłusty kapłan przybył, niosąc jego broń.

- Część znaleźliśmy koło ciebie – wyjaśnił. – Resztę przy ciele *akaany*, którego zabiłeś bronią przemawiającą ogniem i dymem. Musisz być bogiem. Ale bogowie nie

krwawią, a ty o mało co nie umarłeś z ran. Kim więc jesteś?

- Nie jestem bogiem – odparł Kane. – Jestem człowiekiem jak i ty, choć mam białą skórę. Pochodzę z dalekiego kraju za morzem, a kraj ten jest najwspanialszy i najpiękniejszy ze wszystkich. Nazywam się Solomon Kane i jestem bezdomnym wędrowcem. Z ust konającego usłyszałem wprawdzie po raz pierwszy twoje imię, lecz oblicze masz łagodne.

Cień smutku przebiegł po twarzy szamana. Zwiesił głowę.

- Wypoczywaj i nabieraj sił, człowieku, boże, czy kimkolwiek jesteś. W odpowiednim czasie dowiesz się o strasznej klątwie ciężącej nad tą prastarą krainą.

W ciągu dni, które nadeszły, Kane powracał do zdrowia z typową dla siebie żywotnością dzikiego zwierzęcia. Goru i Kuroba siadywali przy nim i mówili długo o wielu niezwykłych tajemnicach.

Ich plemię nie pochodziło z tej krainy. Sto pięćdziesiąt lat temu przybyli na ten płaskowyż i nadali mu imię swej poprzedniej ojczyzny. Kiedyś, w Starej Bogondzie, byli potężnym narodem żyjącym nad wielką rzeką daleko na

południu. Wojny plemienne skruszyły ich potęgę. Wreszcie szczerp uległ potężnemu najeźdźcy. Goru opowiadał legendy o wielkiej ucieczce. Przewędrowali tysiąc mil poprzez dżungle i bagniska, nieustannie nękani przez okrutnych wrogów.

Wreszcie, wyrąbując sobie przejście przez kraj dzikich kanibali, dotarli tutaj, bezpieczni od ludzkiej napaści, lecz zarazem więźniowie tego miejsca, z którego ani oni, ani ich potomkowie nie zdołają się wydostać. Trafili do straszliwej Krainy Akaana. Goru dodał, że jego przodkowie za późno zrozumieli powody szyderczego śmiechu ludożerców, ścigających ich do samych granic płaskowyżu.

Lud Bogondy dotarł do terytorium obfitującego w wodę i zwierzyne. Było tu wiele kóz i pewien gatunek dzikiej świni, żyjącej tu w znacznej liczbie. Z początku ludzie zjadali te śwynie, lecz potem z ważkich powodów zaczęli je oszczędzać. Trawiaste równiny pomiędzy płaskowyżem a dżunglą roiły się od antylop i bawołów. Żyło tam też wiele lwów, które zapuszczały się nawet na sam płaskowyż. Bogdana oznacza jednak „zabójcę lwów” i niewiele księżyców minęło, nim niedobitki wielkich kotów

przeniosły się na niżej położone tereny. Lecz, jak prędko przekonali się przodkowie Goru, to nie tych bestii należało się lękać.

Kiedy stwierdzili, że kanibale nie mają zamiaru ścigać ich poza pas sawanny i wypoczęli po długiej wędrówce, wybudowali dwie wsie – Górną i Dolną Bogondę. Kane znajdował się teraz w Górnej, zaś ruiny, które widział, były jedynym, co pozostało z niżej położonej wioski.

Wkrótce Murzyni pojęli, że trafili do krainy potworów o strasznych kłach i szponach. Nocą słyszeli uderzenia wielkich skrzydeł i widzieli przerażające kształty, które przesłaniały gwiazdy albo majaczyły na tle tarczy księżyca. Zdarzało się, że znikwały dzieci, aż w końcu pewien młody łowca zabłądził między wzgórzami, gdzie zastała go noc. A o szarym świcie okaleczone, na pół pożarte ciało spadło z nieba na główną ulicę wioski, zaś wybuch okrutnego śmiechu gdzieś na wysokości zmroził krew w żyłach przerażonych mieszkańców. Niedługo potem Bogondi zrozumieli całą grozę swego położenia.

Z początku skrzydlaci bali się ludzi, ukrywali się i tylko nocą wylatywali ze swych jaskiń, lecz z czasem stawali się coraz zuchwalsi. Kiedyś w pełnym świetle dnia

któryś z wojowników zestrzelił z łuku jednego z nich. Potwory jednak przekonały się już, że potrafią zabijać ludzi. Śmiertelny krzyk konającego przywabił całe stado tych demonów. Runęły z nieba i na oczach współplemieńców rozerwały człowieka na strzępy.

Bogondi postanowili opuścić diabelską krainę. Setka wojowników wyruszyła w góry na poszukiwanie przejścia. Znaleźli strome zbocze, na które z trudem tylko mogli się wspiąć. Znaleźli też podziurawione jaskiniami urwiska. Tam gnieździli się skrzydlaci.

Stoczono wtedy pierwszą zazartą bitwę między ludźmi a wampirami, zakończoną miażdżącym zwycięstwem tych ostatnich. Łuki i włócznie Murzynów okazały się bezużyteczne przeciw uzbrojonym w szpony potworom. Z całej setki, która wyruszyła w góry, nie przeżył nikt. *Akaana* ścigały uciekających i ostatniego z nich dopadły w odległości strzału z łuku od wioski.

Kiedy Bogondi zrozumieli, że nie ma nadziei na przebycie gór, postanowili wywalczyć sobie odwrót drogą, którą tu przyszli. Na porośniętej trawą równinie stanęła przeciwko nim wielka horda ludożerców i po straszliwej, trwającej prawie cały dzień bitwie odepchnęła ich z

powrotem, zdziesiątkowanych i załamanych. Goru mówił, że gdy szalała walka, na niebie tłoczyły się ohydne stwory, zataczały kręgi i chichotały widząc ginących masami ludzi.

Ci, którzy pozostali przy życiu po dwóch bitwach, lizali rany i zgodnie z fatalistyczną filozofią czarnego człowieka godzili się z tym, co nieuniknione. Było ich około tysiąca pięciuset mężczyzn, kobiet i dzieci. Odbudowali swe chaty, zaczęli uprawiać ziemię i starali się przystosować do życia w cieniu koszmaru.

W tych dniach ludzi – ptaków było bardzo wielu i gdyby chcieli, mogliby bez trudu zetrzeć Bogondi z powierzchni ziemi. Żaden z wojowników nie potrafił stawić czoła *akaanie*, który był silniejszy niż człowiek, atakował jak jastrząb, a gdy chybił, skrzydła wynosiły go poza zasięg kontrataku.

W tym miejscu Kane przerwał opowieść pytając, dlaczego Murzyni nie zabijali demonów z łuków. Goru wyjaśnił, że trzeba niezwykle pewnej ręki i celnego oka, aby w ogóle trafić *akaanę* w powietrzu. W dodatku te potwory miały skórę tak grubą, że strzała, jeżeli nie uderzała prostopadle, nie wyrządzała im żadnej szkody. Kane wiedział, że czarni są na ogół marnymi strzelcami, a



groty wyrabiali z odłamków kamienia, kości lub kutego żelaza, miękkiego niemal jak miedź. Pomyślał o Poitiers, o Agincourt... Wiele by dał, by stanęła teraz przy nim rota dzielnych angielskich łuczników... albo oddział muszkieterów.

Goru twierdził jednak, że *akaana* nie chciały całkowitego zniszczenia ludu Bogondy. Żywiły się przede wszystkim niedużymi świniami, od których aż roił się płaskowyż, i młodymi kozami. Czasem zapuszczały się nad sawannę po antylopy, na ogół jednak nie miały zaufania do otwartych terenów i bały się lwów. Nie latały także do dżungli, gdyż zbyt gęsto rosnące drzewa nie pozwalały na rozwinięcie skrzydeł. Trzymały się gór i płaskowyżu. Co znajdowało się za górami, tego nie wiedział nikt w Bogondzie.

*Akaana* pozwoliły ludziom osiedlić się na płaskowyżu z tych samych powodów, z jakich ludzie pozwalają mnożyć się dzikiej zwierzynie albo zarybiają jeziora – dla własnej przyjemności. Te wampiry, jak twierdził Goru, miały niezwykle i straszne poczucie humoru – podniecały je cierpienia wyjących z bólu ludzkich ofiar. Zbocza gór

często odbijały echa wrzasków, zmieniających w lód ludzkie serca.

Przez wiele lat jednak ludzie nauczyli się nie drażnić swych władców i *akaana* zadowalały się porwaniem dziecka od czasu do czasu, to znów pożarciem młodej dziewczyny, co zabłąkała się gdzieś daleko od wioski, czy wreszcie młodzieńca, którego noc zastała poza palisadą. Nie ufały zabudowaniom; krążyły wysoko nie zapuszczając się między chaty. Bogondi żyli więc w miarę bezpiecznie – do niedawna.

Goru był zdania, że *akaana* wymierają, i to szybko. Miał nadzieję, że resztki jego szczepu przeżyją skrzydlatą rasę. Wtedy, twierdził z właściwym sobie fatalizmem, bez wątpienia z dżungli nadejdą ludożercy i wsadzą do kotłów niedobitki jego plemienia. Przypuszczał, że w chwili obecnej żyje nie więcej niż sto pięćdziesiąt wampirów. Biały zdziwił się, dlaczego w takim razie wojownicy nie wyruszają na wielkie łowy i nie wytępią tych diabłów ze szczeniem. Kapłan uśmiechnął się tylko gorzko i powtórzył raz jeszcze to, co mówił, o bojowych możliwościach potworów. Co więcej, dodał, całe plemię Bogondy liczy

sobie nie więcej niż czterysta dusz i *akaana* są dla nich jedyną ochroną przed ludożercami z zachodu.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat szczerp przerzedził się bardziej niż kiedykolwiek przedtem. W miarę jak malała liczba *akaana*, rosło ich okrucieństwo. Porywały wciąż więcej Bogondich, by torturować ich i pożerać w głębi swych strasznych, mrocznych jaskiń wysoko w górach. Goru opowiadał o napadach na myśliwych i na ludzi pracujących w polu; o nocach wypełnionych przeraźliwymi krzykami i jękami, dochodzącymi od strony gór oraz mrozącym krew w żyłach chichotem, który był na pół tylko ludzki; o oderwanych kończynach i szczerzących zęby główach zrzucanych z góry do drżącej ze strachu wioski; o ohydnych ucztach pod gwiazdami.

Potem nadeszła susza i wielki głód. Wyszły źródła, nie udały się zbiory prosa, manioku i bananów. Antylopy, jelenie i bawoły, stanowiące podstawową część mięsnej diety Bogondich, odeszły do dżungli w poszukiwaniu wody. Na wyżynie pojawiały się lwy, których głód był silniejszy od strachu przed ludźmi. Wielu członków plemienia zmarło, pozostali zmuszeni byli do zjadania świń, naturalnej zwierzyny łownej *akaana*. To rozsierdziło

potwory. Głód, lwy i Bogondi wyćpili wszystkie kozy i połowę świń.

Wreszcie susza minęła, lecz nieszczęście już się stało. Tylko niedobitki pozostały z tak często dawniej spotykanych na płaskowyżu wielkich stad, a te były płochliwe i niełatwo dawały się złowić. Bogondi zjadali świnie, więc *akaana* zjadali Bogondich. Życie ludzi zmieniło się w piekło. Niżej położona wieś, gdzie żyło już tylko około stu pięćdziesięciu mieszkańców, zbuntowała się. Doprowadzeni do szaleństwa powtarzającymi się gwałtami powstali przeciw swoim władcom. *Akaana* szybujący nad ulicami w celu porwania dziecka został zestrzelony i zabity strzałami z łuków. Potem wszyscy w Dolnej Bogondzie zamknęli się w chatach i oczekiwali swego losu.

Zguba nadeszła nocą. *Akaana* przewyciężyły swój lęk przed zabudowaniami i całe ich stado przybyło od strony gór. Drugą wieś obudził wybuch przerażających wrzasków i przekleństw, oznaczających koniec Dolnej Bogondy. Przez całą noc ogarnięci trwogą ludzie Goru leżeli bojąc się poruszyć i nasłuchiwali rozdzierającego ciszę wycia i bełkotu. Wreszcie ucichły te dźwięki, mówił kapłan

ocierając z czoła lodowaty pot, lecz długo w noc niosły się szydercze odgłosy ohydnej diabelskiej uczty.

O świcie mieszkańcy Górnej Bogondy zobaczyli odlatujące straszne stado, podobne powracającym do piekła demonom. *Akaana* leciały powoli i ciężko machały skrzydłami, niby nazarte sępy. Później niektórzy odważyli się zakraść do przeklętej wsi i to, co tam znaleźli, sprawiło, że uciekli z krzykiem. Od owego dnia nikt nie zbliżył się do tego straszego miejsca bliżej niż na trzy strzały z łuku. Kane ze zrozumieniem pokiwał głową. Jego zimne oczy spoglądały wzrokiem bardziej posepnym niż kiedykolwiek dotychczas.

Przez wiele dni ludzie drżąc z przerażenia czekali na rozwój wydarzeń. Wreszcie, powodowani skłaniającą do straszego okrucieństwa a zrodzoną z lęku desperacją pociągnęli losy: przegrywający został przywiązany do pala wbitego w połowie drogi między dwiema wioskami. Mieli nadzieję, że *akaana* uznają to za wyraz podporządkowania się i w ten sposób mieszkańcy Górnej Bogondy unikną straszliwego losu swych współplemieńców. Ten obyczaj, tłumaczył szaman, przyjęli od kanibali, którzy w dawnych czasach oddawali wampirom cześć i każdego księżyca

składali im ludzką ofiarę. Przypadkiem jednak stwierdzili, że *akaana* może zostać zabity, przestali więc uznawać te monstra za bogów – tak przynajmniej uważał Goru i długo tłumaczył, dlaczego żadne śmiertelne stworzenie nie jest godne prawdziwego uwielbienia, choćby nie wiem jak było potężne i złe.

Przodkowie Goru składali od czasu do czasu ofiary skrzydlatym demonom, żeby je zjednać, nigdy jednak nie stało się to trwałym zwyczajem. Teraz nie było innego wyjścia. *Akaana* oczekiwały tego, zatem co miesiąc wybierali spośród malejącej ciągle liczby mieszkańców silnego młodzieńca albo dziewczynę i przywiązywali do pala.

Kane dokładnie obserwował twarz Goru, gdy kapłan opowiadał o bólu, jaki cierpi z powodu tej strasznej konieczności. Zrozumiał, że jest w tym szczery. Zadrżał na myśl o plemienu ludzkich istot, które wolno, lecz nieubłaganie trafiają do żołądków przedstawicieli rasy potworów.

Opowiedział o umęczonym ciele, które znalazł w dniu swego przybycia na płaskowyż. Szaman pokiwał głową i w jego łagodnych odbiło się cierpienie. Cały dzień i całą noc

zwisała u pala ta ofiara, a *akaana* zaspokajały swą dziką żądzą tortur, znęcając się nad wijącym się, konającym człowiekiem. Jak dotąd ofiary te odsuwały zgubę od Górnej Bogondy. Pozostałe świnie i od czasu do czasu jakieś porwane dziecko dostarczały pożywienia wciąż malejącej liczbie wampirów. Wystarczała im zabawa pojedynczym człowiekiem raz w miesiącu.

Kane'owi przyszła do głowy pewna myśl.

- Czy kanibale nigdy nie przychodzą na płaskowyż?

Goru pokręcił głową. Bezpieczni w gęstwinie dżungli nigdy nie zapuszczają się poza sawannę.

- Ale mnie ścigali do samego podnóża gór.

Goru jeszcze raz pokręcił głową. Pokazał się tylko jeden ludożerca. Znaleźli jego ślady. Najwyraźniej jakiś śmielszy od innych wojownik pozwolił, by namiętność łowcy pokonała strach przed groźnym płaskowyżem. Zapłacił za to.

Kane zgrzytnął zębami, co zwykle oznaczało u niego przekleństwo. Bolesna była myśl, że tak długo uciekał przed jednym tylko przeciwnikiem. Nic dziwnego, że tamten zbliżał się tak ostrożnie i czekał z atakiem na nadejście mocy. No tak, ale dlaczego *akaana* pochwycił

Murzyna zamiast niego, pytał samego siebie Anglik. I dlaczego nie zaatakował go ten wampir, który wylądował nocą na jego drzewie.

Kanibal krwawił, wyjaśnił Goru. Zapach skłonił potwora do ataku, ponieważ wampiry jak sępy umiały wyczuć świeżą krew z dużej odległości. Były przy tym ostrożne. Nigdy dotąd nie widziały takiego człowieka jak Kane – który by nie okazywał lęku. Z pewnością postanowił obserwować go i napaść zniemacka.

- Co to za stworzenia? – chciał się dowiedzieć Kane. Goru wzruszył ramionami. Były tutaj, gdy nastali jego przodkowie, którzy nigdy wcześniej o nich nie słyszeli. Nie utrzymywali żadnych z ludożercami, nie mogli więc niczego się od nich dowiedzieć. *Akaana* żyły w jaskiniach, nagie jak zwierzęta, nie znały ognia i jadły wyłącznie świeże surowe mięso. Miały jednak coś w rodzaju języka i uznawały wśród siebie króla. Znaczna ich liczba zginęła w czasie wielkiego głodu, gdyż silniejszy pożerał wtedy słabszego. Wymierały szybko – w ostatnich latach nie widziano między nimi żadnych młodych ani samic. Kiedy w końcu wymrą i samce, nie będzie już więcej *akaana*. Bogondi jednak są już i tak skazani, chyba że... Goru



obrzucił białego dziwnym błagalnym spojrzeniem. Purytanin jednak pogrążony był we własnych myślach.

Wspomniał jedną spośród licznych legend, które słyszał w czasie swych wędrówek. Dawno, bardzo dawno temu pewien stary, bardzo stary kapłan ju – ju opowiedział mu, jak to kiedyś nadleciały z północy skrzydlate demony, przemknęły nad jego krajem i zniknęły nad porośniętymi płataniną dżungli obszarami południa. Kapłan wspomniał wtedy pochodzącą z pradawnych czasów opowieść o tych stworzeniach – że kiedyś żyły w wielkiej liczbie nad rozległym jeziorem o gorzkich wodach, położonym daleko na północy. Całe wieki temu pewien wódz i jego wojownicy walczyli z nimi, strzelali do nich z łuków i zabili bardzo wiele, a resztę przepędzili na południe. Imię wodza brzmiało N'Yasunna, a miał on wielkie czółno z wieloma wiosłami, które pchały to czółno szybko po gorzkich wodach.

Zimny podmuch owiał nagle Salomona Kane'a, jak gdyby niespodziewanie otworzyła się przed nim Brama, wiodąca do Zewnętrznych Otchłani Czasu i Przestrzeni. Zrozumiał bowiem, że prawdziwa była inna, starsza jeszcze i bardziej ponura legenda. Czymże mogło być

wielkie gorzkie jezioro, jak nie Morzem Śródziemnym, i kim wódz N'Yasunna, jeśli nie herosem Jazonem, który pokonał harpie i przegnał je nie tylko ku wyspom Strofadów, lecz do Afryki? Stara pogańska opowieść była zatem prawdziwa, myślał Kane oszołomiony, przerażony przedziwnymi możliwościami, które ów fakt dopuszczał. Jeśli bowiem mit o harpiach był rzeczywistością, to co z pozostałymi – z Hydrą, centaurami, Chimera, Meduzą, Panem i satyrami? Czy we wszystkich legendach starożytności kryła się prawda potwornego zła i koszmarnych istot o ociekających śliną kłach i ostrych szponach? O, Afryko, Czarny Kontynencie, kraino cienia i grozy, dokąd wygnano mroczne potwory przed jaśniejącym światłem zachodniego świata!

Kane drżący ocknął się z zamyślenia. Goru nieśmiało, delikatnie pociągnął go za rękaw.

- Ratuj nas przed *akaana*! – poprosił. – Jeśli nawet nie jesteś bogiem, to masz w sobie boską moc! Dzierżysz w swej dłoni potężną laskę ju – ju, która w dawno minionych czasach była berłem imperiów i podporą wielkich kapłanów. Masz też broń, która wysyła śmierć w ogniu i dymie – nasi młodzieńcy widzieli, jak zabiłeś dwóch

*akaana*. Uczynimy cię królem... bogiem... kim zechcesz!  
Upłynął już więcej niż miesiąc, odkąd przybyłeś do Bogondy. Minał termin złożenia ofiary, lecz krwawy pal stoi pusty. *Akaana* wystrzegają się wioski, w której przebywasz, nie kradną nam więcej dzieci. Zrzuciliśmy już jarzmo, bo wierzymy w ciebie!

Kane przycisnął dłonie do skroni.

- Sam nie wiesz, czego żądasz! – zawołał. – Bóg widzi, że z głębi serca pragnę uwolnić od złą tę krainę, lecz nie jestem wszechmocny. Mogę z pistoletów ubić kilka potworów, ale niewiele prochu mi zostało. Gdybym miał zapas prochu, a także kule i muszkiet, który złamałem na nawiedzanych przez upiory Trupich Wzgórzach, wtedy zaiste wspaniałe by to były łowy. Ale nawet gdybym pozabijał te monstra, to co z ludożercami?

- Oni także boją się ciebie! – krzyknął stary Kuroba, zaś dziewczyna Nayela i chłopak Loga, który miał być następną ofiarą, patrzyli na białego błagalnie. Kane podparł brodę dłonią i westchnął ciężko.

- Dobrze więc. Jeżeli uważacie, że będę tarczą ochronną dla tego ludu, pozostanę tutaj, w Bogondzie, na resztę mojego życia.

**I tak Solomon Kane zamieszkał we wsi Bogonda w Cieniu. Ludzie byli tu dobrzy. Ich naturalna żywotność i wesoły duch zostały przytłumione długim życiem w Cieniu, lecz teraz, po przybyciu białego człowieka, nabrali nowej nadziei. Serce Anglika ścisnęło się na widok absolutnego zaufania, jakim go darzyli. Bogondi śpiewali pracując w polu, tańczyli przy ogniskach, wodzili za nim oczyma, w których był podziw i uwielbienie. Purytanin przeklinał własną bezradność, rozumiał bowiem, jak daremne będzie jego opieka, gdy skrzydlate monstra runą nagle z nieba.**

**Został jednak w Bogondzie. W snach widział mewy, krążące nad skałami Dewonu i wznoszące się w czyste, błękitne niebo. Na jawie zew nieznanych, dalekich krain gwałtowną tęsknotą rozdzierał mu serce. Lecz żył w Bogondzie i wysilał swój umysł poszukując sensownego planu działania. Całymi godzinami siedział wpatrzony w laskę ju – ju, rozpaczliwie licząc na pomoc czarnej magii tam, gdzie zawodził rozum białego człowieka. Jednak bezcenny dar N'Longi w niczym nie mógł mu pomóc. Już raz wezwał szamana z Niewolniczego Wybrzeża poprzez setki mil dzielącej ich przestrzeni, lecz N'Longa mógłby do**

**niego przybyć jedynie wtedy, gdyby w grę wchodziły siły nadnaturalne. A te harpie nadnaturalne nie były.**

**Pewien pomysł zaczął mu kiełkować w głowie, ale Kane go odrzucił. Szło o jakąś pułapkę – ale jak można schwytać w pułapkę *akaana*? Ryk lwów tworzył ponury akompaniament dla jego mrocznych medytacji. Na płaskowyżu wymierał człowiek, a więc zaczynały się gromadzić drapieżne bestie, lękające się jedynie włóczy łowców. Kane zaśmiał się gorzko. To nie lwy, które można tropić i zabijać pojedynczo, były jego zmartwieniem.**

**W pewnej odległości od samej wsi stała wielka chata Goru kiedyś miejsce zebrań rady szczepu. Pełno w niej było najróżniejszych fetyszy, lecz kapłan stwierdził, machnąwszy bezradnie tłustą dłonią, że choć wielka jest ich magiczna moc w walce ze złymi duchami, to marną stanowią ochronę przed zbudowanymi z krwi i kości skrzydlatymi diabłami.**

#### 4. Szaleństwo Solomona

Ohydny zgiełk dzikich wrzasków wyrwał nagle Kane'a ze snu bez marzeń. Przed chatą ginęli ludzie, strasznie, niby bydło w rzeźni. Jak zawsze spał z bronią, więc nie tracąc czasu pobiegł do drzwi. Do jego stop upadło coś śliniącego się i mamroczącego, co schwyciło go za kolana i bełkotało niezrozumiałe prośby. W półmroku przerażony Kane rozpoznał twarz młodego Logi, zmasakrowaną straszliwie i zalaną krwią, zastygającą już w pośmiertną maskę. Z ciemności dobiegały przerażające odgłosy i nieludzkie wrzaski zmieszane z szumem wielkich skrzydeł, trzaskiem rozrywanych strzech i upiornym demonicznym chichotem. Anglik uwolnił się z uścisku martwych rąk i skoczył w stronę gasnącego ogniska. Wśród nocy rozróżniał jedynie niewyraźne mrowie latających sylwetek, przemykające w powietrzu postacie, ruchome plamy skrzydeł przesłaniające gwiazdy.

Pochwycił tłącą się głownię i wetknął ją w dach swej chaty, a kiedy płomień objął strzechę i oświetlił rozgrywającą się scenę, zamarł ze zgrozy. Na Bogondę spadła krwawa i straszna zguba. Skrzydlate wampiry z

wyciem latały po ulicach, krążyły ponad głowami uciekających ludzi, szarpały strzechy chat, by dostać się do bełkoczących z przerażenia ofiar.

Ze zduszonym krzykiem Anglik ocknął się z transu, wyrwał pistolet i wypalił, a pędzący ku niemu płomiennooki kształt runął z roztrzaskaną czaszką. Kane ryknął dziko i rzucił się do walki. Znalazł się w mocy straszliwej furii swych pogańskich saksońskich przodków. Oszołomieni i zaskoczeni atakiem potworów, onieśmieleni latami podporządkowania Bogondi nie byli zdolni do zorganizowanego oporu. Większość z nich umierała bezwolnie, jak owce, i tylko niektórzy, oszaleli z rozpacz, próbowali walczyć. Ich strzały chybiały jednak lub odbijały się od twardych skrzydeł, zaś diabelska ruchliwość stworów czyniła niepewnym pchnięcie włóczni czy uderzenie topora. Podlatując w górę unikały ciosów swych ofiar, a następnie pikując przygniatały do ziemi, gdzie kły i pazury dokańczały krwawego dzieła.

Kane dostrzegł starego Kurobę, chudego, zbroczonego krwią, przypartego do ściany chaty, nogą wspartego na karku potwora, który okazał się nie dość szybki. Wódz trzymał dwuręczny topór, którego potężne ciosy odpierały

chwilowo ataki pół tuzina diabłów. Anglik chciał pobiec mu na pomoc, lecz powstrzymał go cichy, żaloszny jęk. O kilka kroków od niego, wijąc się słabo, rozciągnięta w pyle ulicy, leżała Nayela. Na jej plecach przysiadł jak sęp okrutny potwór i szarpał jej ciało. Zachodzące mgła oczy dziewczyny z wyrazem bolesnej prośby szukały twarzy białego. Anglik zaklął gorzko i wypalił z drugiego pistoletu. Diabelski wampir z ohydny wrzaskiem zwałił się do tyłu, trzepocząc dziko słabnącymi skrzydłami. Kane ukląkł przy konającej dziewczynie. Z jękiem, siniejącymi wargami całowała jego ręce, którymi obejmował jej głowę. Potem jej oczy zamknęły się.

Kane delikatnie złożył ciało na ziemi i poszukał wzrokiem Kuroby. Zobaczył jedynie bezładną plataninę ohydnych kształtów rozszarpujących coś, co znajdowało się pod nimi. I wtedy poczuł, że ogarnia go szaleństwo. Z rykiem, który przebił się przez piekielny zgiełk, zerwał się, by zabijać. Już prostując ugięte kolano wyrwał rapier i przebił sępie gardło, a gdy potwór padł szarpiąc się i wijąc w przedśmiertnych drgawkach, oszalały purytanin ruszył szukać nowych ofiar.



**Dokoła w straszny sposób ginęli mieszkańcy Bogondy. Próbowali walczyć lub uciekali, do chat, a monstra zrywały dachy albo wyłamywały drzwi. To, co działo się wewnątrz, było szczęśliwie skryte przed wzrokiem Kane'a. Ogarnięty grozą i szaleństwem Anglik był przekonany, że to on jest winien tej tragedii. Zaufali mu, nie złożyli ofiary, wymówili posłuszeństwo swym strasznym władcom, a teraz ponosili za to karę, on zaś nie potrafił ich przed nią uchronić. W oczach Bogondich, zamglonych od cierpienia, widział swój kielich goryczy. We wzroku ginących ludzi nie było gniewu ani mściwości, jedynie ból i niemy wyrzut – on jest ich bogiem i on ich zawiódł.**

**Brnął przez wioskę, monstra zaś unikały go, wołąc uległe, czarne ofiary. Niełatwo jednak było uniknąć Kane'a. W przysłaniającej mu wzrok czerwonej mgle, która nie pochodziła z ognia pożaru, dostrzegł przerażającą scenę. Jedna z harpii trzymała mocno nogą, wyrywającą się kobietę i głęboko wbijała wilcze kły w jej ciało. Pchnął rapierem, a wtedy wampir wypuścił swą jęczącą ofiarę i wzniósł się w górę. Anglik rzucił swój miecz i skoczył jak krwiożercza panter, chwytając palcami za gardło i oplatając nogami dolną część ciała potwora.**

**Znów walczył w powietrzu, tym razem jednak tuż nad dachem chaty. Przeważenie ogarnęło zimny umysł harpii. Nie próbował zabijać, chciał jedynie pozbyć się milczącego wroga, którego sztylet raz po raz wbijał się w jej ciało. Szarpała się dziko, wrzeszczała ohydnie i biła skrzydłami, aż wreszcie, gdy ostrze dotarło głębiej, przechyliła się i runęła w dół.**

**Strzecha wyhamowała ich upadek. Kane i konająca harpia przelecieli przez nią i wylądowali na wijących się po podłodze ciałach. Posępny odbłask pożaru słabo rozjaśniał wnętrze chaty i w tym świetle Anglik zobaczył coś, co nim wstrząsnęło – ociekające krwią czerwone kły w rozwartej paszczy i krwawą parodię ludzkiej postaci, wciąż jeszcze poruszaną resztką ulatującego życia. Z wnętrza labiryntu szaleństwa, w którym przebywał, wyciągnął rękę i jego stalowe palce zacisnęły się na gardle monstrum chwytam, którego nie mogło rozluźnić żadne darcie pazurami ani uderzenie skrzydeł. Trzymał, póki nie poczuł, że z potwora wycieka życie i chuda szyja zwisa złamana.**

**Na zewnątrz trwała ciągle krwawa rzeź. Kane stał, po omacku zaciskając palce na drzewcu jakiejś broni, i wybiegł z chaty. Harpia próbowała wnieść się do lotu spod**

samych jego stóp. Spostrzegł, że tym, co schwycił w mroku, był topór, i zadał nim cios, od którego mózg potwora rozbryzwał się jak woda. Potem skoczył przed siebie. Potykał się o trupy i części ciała, krew spływała mu z tuzina ran. Wreszcie zatrzymał się krzycząc z wściekłości.

Wampiry odlatywały. Nie miały ochoty dalej potykać się z tym białoskórym szaleńcem, który w obłądnie był jeszcze straszniejszy niż one. Lecz harpie nie same wznosiły się w górę. W zachłannych szponach trzymały wrywające się i krzyczące postacie. Kane, miotając się na wszystkie strony, ze skapanym w krwi toporem w dłoni, pozostał sam w wiosce pełnej trupów.

Kiedy odrzucił głowę do tyłu, by wykrzyczeć swą nienawiść do krążących nad nim stworów, poczuł, jak na twarz padają mu ciepłe, gęste krople. Z mrocznego nieba dochodziły jęki agonii i chichoty wampirów. Wtedy opuściła go resztką zdrowego rozsądku i kiedy wśród nocy rozległy się odgłosy upiornej, podniebnej uczyty, a z gwiazd kapał krwawy deszcz, zaczął bełkotać coś nieskładnie, wykrzykując od czasu do czasu bluźnierstwa.

Czyż nie był symbolem człowieczeństwa on, potykający się o poznaczone kłami ludzkie kości i

**wyszczерzone czaszki – z bezużytecznym toporem w ręku,  
wykrzykujący swą straszliwą nienawiść ku posępnym,  
skrzydlatym kształtom Nocy, których padł ofiarą, a które  
teraz chichotały demoniczne gdzieś ponad nim i zalewały  
jego oczy krwią swych żalosnych ofiar?**

## **5. Białoskóry zwycięzca**

**Od strony gór nadszedł niepewny, blady świt i zadrżał nad krwawą rzeźnią, która była niegdyś wioską Bogonda. Chaty stały jeszcze wszystkie prócz jednej, która rozsypała się w stos tlejących głowni, lecz wiele z nich miało zerwane strzechy. Ulice zalegały sterty kości, częściowo lub całkowicie odartych z ciała. Niektóre były pokruszone, jak gdyby spadły z wielkiej wysokości. Była to kraina śmierci, w której pozostał tylko jeden ślad życia. Wsparty na skrwawionym toporze Solomon Kane przypatrywał się straszliwej scenie zamglonymi szaleństwem oczami. Brudny i poplamiony nie całkiem jeszcze zaschniętą krwią, spływającą z głębokich ran na piersi, twarzy i rękach, nie zwracał uwagi na ból.**

**Lud Bogondy nie ginął samotnie. Między stosami kości leżało siedemnaście trupów harpii. Sześć z nich zabił on sam, reszta padła w zderzeniu z desperacką, śmiertelną furią Murzynów. Marna była to jednak rekompensata. Z czterystu mieszkańców Bogondy żaden nie dożył poranka. A harpie odleciały do swych jaskiń, nażarte do przesytu.**

Wolnym, mechanicznym krokiem ruszył Kane szukać swej broni. Znalazł szpadę, pistolety, sztylet i laskę ju – ju. Oddalił się od centrum wsi i poszedł w górę, w stronę wielkiej chaty Goru, gdzie zatrzymał się, porażony nową grozą. Obdarzone upiornym poczuciem humoru harpie zdobyły się na wspaniały żart – znad wejścia spoglądała na białego odcięta głowa starego kapłana. Tłuste policzki były zapadnięte, usta wykrzywione w idiotycznym grymasie przerażenia, oczy patrzyły wzrokiem skrzywdzonego dziecka. W martwych źrenicach dostrzegął Kane zdumienie i wyrzut.

Spojrzał na rzeźnię, która kiedyś była Bogondą, potem na śmiertelną maskę Goru i uniósł do góry zaciśnięte pięści. Oczy mu płonęły, piana wystąpiła na wykrzywione wargi – Kane przeklął niebo i ziemię, i wszystkie sfery wyższe i niższe. Przeklął zimne gwiazdy, gorące słońce, szyderczy księżyc i szelest wiatru, wszystkie losy i przeznaczenia, wszystko, co kochał i nienawidził, milczące miasta przykryte wodami mórz, minione wieki i przyszłe epoki. W jednym straszliwym wybuchu bluźnierstwa przeklął bogów i demony, dla których ludzkość jest tylko zabawką, i Człowieka, co żyje jak

ślepiec i sam kładzie kark pod żelazne kopyta swych bożków.

Przerwał bez tchu. Gdzieś z nizin do jego uszu doleciał ryk lwa. W oczach Kane'a zabłyśła przebiegłość. Długo stał nieruchomy, a z otchłani szaleństwa kielkował w jego mózgu desperacki plan. W milczeniu kajał się za swe bluźnierstwa. Jeżeli bogowie o kopytach ze spiżu uczynili człowieka przedmiotem swych rozgrywek i zabawką, to dali mu przecież umysł zdolny do chytryści i okrucieństwa większego niż jakiegokolwiek żyjącego stworzenia.

- Pozostaniesz tu – rzekł do głowy Goru Solomon Kane. – Wysuszy cię słońce, pomarszczy chłodną, nocna rosa. Nie dopuszczę do ciebie drapieżnych ptaków, a twoje oczy oglądać będą zgubę twych wrogów. Tak, nie umiałem ocalić ludu Bogondy, lecz, na Boga mej rasy, potrafię go pomścić. Człowiek jest zabawką i ofiarą tytanicznych istot Grozy i Ciemności, wiecznie rozpościerających nad nim swe ogromne skrzydła. Nawet jednak wysłanników zła może spotkać klęska – i ty, Goru, będziesz na to patrzył.

W ciągu dni, które nadeszły, Kane pracował ciężko, wstawał z pierwszym szarym blaskiem świtu i męczył się

jeszcze długo po zachodzie, przy bladym świetle księżyca, póki całkowicie wyczerpany nie padł, by zasnąć. Posiłał się przy pracy, zaś swych ran nie leczył, zaledwie świadom, że goją się same. Schodził na niziny i wycinał bambusy, wielkie pęki długich, mocnych prętów. Ścinał grube konary drzew i giętkie liany, służące mu za sznury. A wszystko to do wzmocnienia dachu i ścian chaty Goru. Podpierał je wbijając głęboko w ziemię bambusowe pręty, które wiązał giętkimi jak powrozy mocnymi pnączami. Długie konary przymocował jeden obok drugiego do strzechy i także powiązał. Gdy skończył, jedynie słoń, a i to z wielkim trudem, mógł wyłamać te ściany.

Na płaskowyż wtargnęły liczne lwy, a stada niedużych świń zaczęły szybko topnieć. Te, których nie dopadły drapieżniki, zabijał Kane i ciskał szakalom. Był człowiekiem łagodnym, więc ta rzeź martwiła go, mimo że świnie i tak stały się żerem drapieżnych bestii. Stanowiło to jednak część jego planu zemsty, uczynił więc swe serce twardym jak stal.

Dni łączyły się w tygodnie. Kane harował dzień i noc, w krótkich chwilach wypoczynku przemawiając do pomarszczonej, zmumifikowanej głowy Goru. Co dziwne,



oczy starego kapłana nie zmieniały się – czy to w blasku słońca, czy w księżycowej poświacie – i ciągle patrzyły na Anglika jak żywe. Kiedy pamięć o owym czasie szaleństwa stała się jedynie odległym koszmarnym wspomnieniem, Kane zastanawiał się często, czy zdawało mu się tylko, czy też naprawdę martwe wargi Goru poruszały się w odpowiedzi mówiąc mu o rzeczach niezwykłych i tajemniczych.

Widował *akaana*, krążące wysoko po niebie, ale nie zbliżały się nawet wtedy, gdy z pistoletami pod ręką spał w wielkiej chacie. Lękały się jego umiejętności rażenia śmiercią w dymie i huku gromu. Z początku, zauważył, latały wysoko i ospale, ciężkie od mięsa, które pożarły tamtej strasznej nocy i które zanosły do swych jaskiń. Lecz w miarę jak mijały tygodnie, były coraz chudsze i coraz dalej wyprawiały się w poszukiwaniu żeru. Kane patrzył na to i śmiał się głośnym, obłąkanym śmiechem. Nie mógłby zrealizować swego planu nigdy wcześniej, ale teraz nie było już ludzi, których ciałami harpie mogłyby napęłnić swe żołądki. Nie było także świń. Na całym płaskowyżu nie pozostało żadne stworzenie, którym wampiry mogłyby się pożywić. Dlaczego nie próbowały

przelatywać na wschodnią stronę górskiego pasma, Anglik się domyślał. Musiał to być obszar porośnięty gęstą dżunglą, tak samo jak terem na zachodzie. Widywał, jak próbowaly polować na antylopy w sawannie i jak lwy pobierały od nich zapłatę za tę śmiałość. No cóż, *akaana* były słabymi istotami wśród łowców, silnymi zaledwie na tyle, by zabijać świnie i jelenie, i... ludzi.

Wreszcie zaczęły nadlatywać bliżej i Kane często widział ich błyszczące w mroku chciwe oczy. Osądził wtedy, że nadszedł jego czas. Wielkie bawoły, zbyt duże i dzikie na to, by wampira były dla nich groźne, zapuszczały się na płaskowyż, by plądrować porzucone pola wymordowanego ludu. Kane zdołał oddzielić jednego z nich od stada, po czym krzykiem i kamieniami zagnać w stronę chaty Goru. To było trudne, niebezpieczne zadanie. Raz po raz Anglik o włos tylko unikał nagłych ataków gniewnego byka, wytrwał jednak i w końcu zastrzelił bestię u drzwi chaty.

Wiał silny, zachodni wiatr. Kane chlusnął w powietrze kilka garści świeżej krwi, by jej zapach dotarł do harpii w górach. Poćwiartował bawołu i wniósł części do chaty,

potem wciągnął ogromny szkielet, a sam ukrył się między rosnącymi w pobliżu drzewami i czekał.

Nie trwało to długo. Ciszę poranka zakłóciły uderzenia skrzydeł i wkrótce wstrętne chmara wylądowała przed chatą Goru. Przybyły tu chyba wszystkie bestie – czy może ludzie ze skrzydłami – i Kane zdumiony wpatrywał się w te wysokie, dziwaczne stwory, tak podobne do człowieka, a przecież tak różne, istne demony z biblijnych legend. Owinęte wielkimi skrzydłami jak opończami, chodziły wyprostowane i mówiły coś do siebie piskliwymi, skrzeczącymi głosami, w których nie było nic ludzkiego. Nie, zdecydował Kane, te stwory nie są ludźmi. Są ucieleśnieniem jakiegoś potwornego żartu Natury, kpina z młodego świata, w którym tworzenie było tylko eksperymentem. A może było owocem ohydnych, grzesznego zbliżenia istoty ludzkiej ze zwierzęciem czy jednak zwyrodniałą odnogą własnej gałęzi ewolucji – Kane bowiem od dawna już podejrzewał, że prawdziwe są heretyckie teorie starożytnych filozofów mówiące, że człowiek jest tylko wyższą formą zwierzęcia. A jeżeli Natura stworzyła w dawnych wiekach tyle dziwacznych stworzeń, to czemu nie miałyby eksperymentować z

monstrualnymi formami ludzkimi? Na pewno człowiek, jakiego znał Kane, nie był pierwszym ze swego rodzaju, który chodził po świecie, z pewnością nie miał być ostatnim.

Harpie wahały się, powstrzymywane przez swą wrodzoną nieufność do zabudowań. Kilka wzniosło się w górę i próbowało rozerwać strzechę, lecz Kane budował solidnie. Powróciły na ziemię i wreszcie jedna z nich, zwabiona kuszącym zapachem krwi i widokiem świeżego mięsa, weszła do środka. W tej samej chwili jakby na dane hasło, wszystkie rzuciły się do chaty, by żarłocznie wrywać sobie kawały mięsa. Gdy ostatni wampir znalazł się wewnątrz, Anglik wyciągnął rękę i szarpnął za długą lianę, która z kolei wyzwoliła zaczep przytrzymujący drzwi. Opadły z hukiem, a wyprofilowany rygiel wskoczył na miejsce. Drzwi, które Kane zbudował, powstrzymałyby atak dzikiego bawołu.

Wyszedł z ukrycia i zbadał wzrokiem niebo. Do chaty weszło jakieś sto czterdzieści harpii, w powietrzu nie dostrzegając ich więcej. Uznał więc, że schwytał w pułapkę całe stado. Uśmiechając się z okrutną zadumą wyjął krzemień i krzesiwo, po czym skrzesał iskrę na leżący przy

ścianie stos suchych liści. Z wnętrza dobiegał go niespokojny szum – potwory zrozumiały, że są uwięzione. W górę uniosła się wąska smużka dymu, zamigotał czerwony punkcik... a potem cały stos wybuchł płomieniem. Suche bambusowe pręty zajęły się szybko.

Kilka chwil później ściana chaty stała w ogniu. Monstra poczuły dym i stały się niespokojne. Kane słyszał ich głosy, słyszał, jak starają się rozedrzeć ściany. Uśmiechnął się okrutnie, bez radości. Powiew wiatru przeniósł ogień w górę, na dach, i płomienie z hukiem objęły całą chatę. Wewnątrz rozpętało się istne piekło. Człowiek słyszał, jak ciała uderzają o ściany, które drżały od ciosów, lecz nie ustępowały. Potworne ryki były jak muzyka dla jego duszy. Potrząsając pięścią odpowiedział im wybuchem wywołującego dreszcze straszliwego śmiechu. Wzniosło się przerażone wycie, zagłuszając nawet trzaski pożaru, a potem, gdy płomienie ogarnęły wnętrze chaty, przycichły, zastąpione przez stłumione jęki i szamotania. Dym zgęstniał i wokół rozszedł się trudny do zniesienia zapach palonego mięsa. Gdyby w umyśle Anglika znalazło się miejsce na jakiegokolwiek uczucie prócz obłąkańczego tryumfu, zadrżałby pojawiający, że woń ta jest

owym mdlącym, nieopisanym odorem, który wydziela jedynie palące się ludzkie ciało.

Poprzez gęstą chmurę dymu Kane dostrzegł, jak dziurą w zrujnowanym dachu wysuwa się bełkocące stworzenie i usiłuje wzlecieć w górę, wolno machając straszliwie popalonymi skrzydłami. Wymierzył spokojnie i strzelił, a oślepiąca, poparzona istota spadła w płonący stos dokładnie w chwili, gdy runęły ściany chaty. Kane'owi zdawało się, że usta niknącej w kłębach dymu, rozsypującej się w płomieniach głowy Goru rozciągnęły się nagle w szerokim uśmiechu, a wybuch radosnego, ludzkiego śmiechu zabrzmiał tajemniczo wśród huku płomieni. Lecz dym pospołu z obłąkanym umysłem wyczyniają czasami dziwne sztuki.

Z dymiącym pistoletem w jednej ręce i laską ju – ju w drugiej Kane stał nad tlejącymi zgliszczami, które na zawsze ukryły przed ludzkim wzrokiem ostatnie ze strasznych na pół człowieczych potworów. Kiedyś, w zapomnianej epoce, inny śmiałek wypędził je z Europy, a teraz on stał nieruchomo niby martwy pomnik tryumfu. Padają pradawne imperia, znikają ciemnoskóre ludy i nawet demony starożytności wydają ostatnie tchnienie, a

**ponad wszystkim stoi potomek bohaterów, najwspanialszy wojownik wszystkich czasów – nieważne, czy oryla się wilczą skórą i nosi rogaty hełm, czy wysokie buty i kubrak... czy w dłoni dzierży bojowy topór, czy rapier... czy nazwie się Dorem, Sasem czy Anglikiem... czy jego imię będzie Jazon, Hengist czy Solomon Kane.**

**Stał tak, a dym kłęбами wznosił się ku porannemu niebu. Na płaskowyżu rozlegały się ryki polujących lwów. Wolno, niby sączące się poprzez mgłę światło, do umysłu człowieka powracał rozsądek.**

**- Światło bożej jutrzeńki dociera nawet do mrocznych, zapomnianych lądów – powiedział smutno Kane. – Zło włada na pustkowiach, lecz ono także może zginąć. Po nocy przychodzi świt i nikną cienie, nawet w tej zapomnianej krainie. Dziwne są Twe wyroki, Boże mego ludu, ale kimże jestem, by wątpić w Twoją mądrość? Moje stopy niosły mnie w złą stronę, ale Ty wyprowadziłeś mnie bez szwanku i uczyniłeś biczem na Moce Zła. Nad duszami ludzi rozpościerają się wciąż szerokie skrzydła strasznych potworów i wiele rodzajów zła czyha na serce, umysł i ciało człowieka. Może jednak nadejdzie kiedyś dzień, gdy cienie rozplyną się, z Księża Ciemności pozostanie już na zawsze**

skuty łańcuchem w piekielnej otchłani. A póki to się nie stanie, ludzie mogą jedynie we własnych sercach i poza nimi stawać dzielnie przeciw potworom, by wreszcie z bożą pomocą zatryumfować nad nimi.

Solomon Kane popatrzył na ciche góry. Dobiegł go bezgłośny zew, płynący od leżących gdzieś poza nimi niezbadanych szlaków. Poprawił pas, mocniej ujął swą łaskę i zwrócił twarz ku wschodowi.



## **PŁOMIENÍ ASSURBANIPALA**

**Yar Ali popatrzył uważnie wzdłuż błękitnawej luf swojego Lee – Enfielda. Nabożnie wezwał pomocy Allacha i posłał kulę prosto w głowę atakującego jeźdźca.**

**- Allah akbar!**

**Olbrzymi Afgańczyk krzyczał radośnie i wymachiwał karabinem.**

**- Bóg jest wielki! Na Allacha, sahibie, jeszcze jednego psa posłaliśmy do piekła!**

**Jego towarzysz ostrożnie wychylił się ponad krawędź piaskowego wału, który niedawno sami usypali. Był to chudy, suchy Amerykanin. Nazywał się Steve Clarney.**

**- Nieźle, stary koniu – stwierdził. – Zostało jeszcze czterech. Patrz, chyba się wycofują.**

**Jeźdźcy w białych szatach istotnie sprawiali wrażenie szykujących się do odwrotu. Zebrali się razem, jakby na naradę, tuż poza zasięgiem celnego ognia. Siedmiu ich było, gdy pierwszy raz zaatakowali dwóch przyjaciół. Napadnięci strzelali jednak celnie.**

**- Spójrz, sahibie, zostawiają zabitych!**

**Yar Ali stanął wyprostowany i wykrzykiwał obelgi w kierunku oddalających się napastników. Jeden z nich odwrócił się i posłał mu kulę. Wzbiła fontannę piasku jakieś trzydzieści stóp od nasypu.**

**- Strzelają jak sucze syny – stwierdził zadowolony z siebie Yar Ali. – Na Allacha, widziałeś, jak ten łotr zwałił się z siodła, kiedy poczęstowałem go porcją ołowiu? Dalej, sahibie, gońmy ich i załatwmy tę sprawę do końca.**

**Steve nie zwrócił uwagi na tę szaleńczą propozycję. Wiedział, że był to tylko jeden z gestów, których wciąż domagała się buntownicza natura jego towarzysza. Wstał, otrzepał spodnie i spojrzał w ślad za jeźdźcami, którzy teraz byli już tylko białymi punkcikami na horyzoncie.**

**- Ci chłopcy jadą, jakby mieli jakiś konkretny cel – rzekł zamyślony. – Wcale nie wyglądają na wiejących przed laniem.**

**- Owszem – zgodził się Yar Ali. Nie widział żadnej niekonsekwencji w nagłym przejściu od swej poprzedniej krwiożerczej propozycji do obecnego spokojnego zachowania. – Jadą, żeby sprowadzić tu więcej wojowników ze swojego szczepu. To jastrzębie; niechętnie porzucają swój łup. Lepiej szybko przenieśmy się w inne**

**miejsce, sahibie. Oni tu wrócą. Może za kilka godzin, może za kilka dni – zależy, jak daleko jest ich baza. Ale wrócą. Mamy karabiny i mamy życie – oni chcą jednego i drugiego.**

**Afgańczyk szcęknął zamkiem strzelby wyrzucając pustą łuskę. Wsunął do komory pojedynczy nabój.**

**- Ostatnia kula, sahibie.**

**- Ja mam jeszcze trzy – skinął głową Steve.**

**Zabici przez nich jeźdźcy zostali okradzeni przez własnych towarzyszy. Nie było sensu szukać amunicji przy rozciągniętych na piasku ciałach. Steve potrząsnął manierką. Była już prawie pusta. Wiedział, że Yar Ali ma tylko trochę więcej, mimo że jako wychowany w surowej krainie potrzebował mniej wody niż Amerykanin, choć i on, według norm białych ludzi, był żyłasty i twardy jak wilk. Odkręcił pokrywę i wypił niewielki łyk. W myślach raz jeszcze przebiegł splot wydarzeń, który doprowadził ich do obecnego położenia.**

**Ci dwaj włóczędzy, rycerze fortuny, zetknięci ze sobą przypadkowo i trzymający się razem dzięki wzajemnemu szacunkowi, przewędrowali z Indii poprzez Turkiestan i Persję – dziwnie dobrana, ale znakomicie zgrana para.**

**Gnało ich niezaspokojone pragnienie włości. Ich celem – który przysięgali sobie osiągnąć i nawet sami czasem w to wierzyli – było zdobycie nieokreślonego, nie odkrytego jeszcze skarbu i garnca złota ukrytego u stóp nie narodzonej tęczy.**

**W starożytnym Shirazie usłyszeli po raz pierwszy o Płomieniu Assurbanipala – z ust starego perskiego kupca, który sam nie bardzo wierzył w swoją opowieść. Powtórzył im historię, którą sam w zamierzchłej młodości usłyszał od człowieka mającego w malignie.**

**Otóż przed pięćdziesięciu laty ów kupiec wyruszył z karawaną wzdłuż południowego wybrzeża Zatoki Perskiej. Kupowali perły. Na pustynię udali się pod wpływem opowieści o klejnocie cudownej urody.**

**Owa perła, jak głosiły plotki, wyłowiona przez jakiegoś nurka, została skradziona przez któregoś z szejków z głębi pustyni. Ludziom z karawany nie udało się jej odnaleźć. Spotkali za to rannego w udo Turka, konającego z głodu i pragnienia. Umierając opowiedział im, bełkocąc w malignie, niesamowitą historię o milczącym, martwym mieście z czarnego kamienia, wznoszącym się pośród ruchomych piasków pustyni**

**gdzieś daleko na zachód, oraz o płomiennym klejnocie, tkwiącym w zaciśniętych kościstych palcach szkieletu siedzącego na starożytnym tronie.**

**Turek nie śmiał zabrać tego klejnotu. Nie umiał stawić czoła straszliwej nieprzepartej grozie panującej w owym miejscu. Pragnienie pognało go na pustynię, gdzie ranili go Beduini. Uciekł im jednak. Gnał co sił, póki koń nie padł pod nim z wyczerpania.**

**Umarł nie wyjaśnwszy, jak dotrzeć do mitycznego miasta. Stary kupiec sądził jednak, że Turek trafił tam z północnego zachodu, że był dezercerem z tureckiej armii, który podjął szaleńczą próbę dotarcia do Zatoki.**

**Ludzie z karawany nie zamierzali szukać miasta w głębi pustyni. Wierzyli – twierdził stary kupiec – że chodzi tu o bardzo stare siedlisko zła, o którym wspomina „Necronomicon” szalonego Araba Alhazreda, o miasto umarłych, na którym ciąży pradawna klątwa. Legendy mgliście określały to miejsce: Arabowie nazywali je Beled – el – Djinn, Miastem Demonów, Turcy zaś Kara – Shehr, Czarnym Miastem. Klejnot zaś był własnością dawno zmarłego władcy, który przez Greków nazywany był Sardanapalusem, a przez ludy semickie Assurbanipalem.**

**Historia ta zafascynowała Steve'a. Przyznał wprawdzie, że najprawdopodobniej jest to jedna z dziesiątka tysięcy legend wymyślonych na temat krain Wschodu, była jednak szansa, że on i Yar Ali trafili właśnie na ślad owego garnca tęczowego złota, za którym gonili. Yar Ali wcześniej już słyszał pogłoski o milczącym mieście wśród piasków. Opowieści takie towarzyszyły karawanom zmierzającym na wschód, poprzez wyżyny Persji i piaski Turkiestanu, aż do gór i jeszcze dalej – niejasne historie o Czarnym Mieście, siedlisku dżinów, zagubionym gdzieś w sercu groźnej pustyni.**

**Podążając tropem legendy przyjaciele dotarli z Shirazu do małej wioski na arabskim brzegu Zatoki Perskiej. Tam dowiedzieli się czegoś więcej. Pewien starzec, który kiedyś był nurkiem, z typową dla swego wieku gadatliwością opowiedział im wszystko, co zasłyszał od przejeżdżających przez wieś wędrowców. Ci z kolei powtarzali to, czego dowiedzieli się od dzikich nomadów pustyni. Znowu Steve i Yar Ali usłyszeli o martwym Czarnym Mieście, o olbrzymich, rzeźbionych w kamieniu bestiach i o szkielecie sułtana ściskającym w dłoni płomienny klejnot.**

**Wyruszyli więc: Steve, Steve myślach przeklinający siebie za głupotę, a z nim Yar Ali, przekonany, że i tak wszystko spoczywa w ręku Allacha. Skromne oszczędności wystarczyły im na zakup wielbłądów oraz niewielkich zapasów przed śmiałą wyprawą w nieznane. Ich jedyną wskazówką były niejasne pogłoski mówiące o położeniu Kara – Shehr.**

**Minęło wiele dni męczącej podróży, poganiania zwierząt, oszczędzania żywności i wody. Potem, głęboko w pustyni, spotkała ich burza piaskowa, w której stracili wielbłądy. Przez długie mile pieszej wędrówki wśród piasków, atakowani przez palące słońce, utrzymywali się przy życiu tylko dzięki szybko ubywającej z manierek wodzie i żywności z sakwy Yar Alego. Nie myśleli już o odnalezieniu legendarnego miasta. Parli ślepo naprzód, w nadziei, że trafią na źródło. Za nimi, w odległości możliwej do przejścia pieszo, nie było żadnej bazy. Podjęli desperacką, ale jedynie możliwą próbę.**

**Jastrzębie w białych burnusach spadły na nich wynurzywszy się z kryjącej horyzont mgiełki. Skryci za niewysokim, pospiesznie usypanym wałem, przyjaciele wymieniali strzały z okrążającymi ich z pełną szybkością**

jeźdźcami. Kule Beduinów ryły ich osłonę, sypały w oczy fontanny piachu, odrywały z ich ubrań strzępy materiału. Szczęście uśmiechnęło się do nich dopiero teraz, przyszło do głowy Clarneyowi. Wymyślał sobie od głupców. Cóż to za obłąkane przedsięwzięcie! Przypuszczać, że dwóch ludzi może dotrzeć tak daleko w głąb pustyni i przeżyć, nie mówiąc już o wydobyciu z otchłani tajemnic minionych wieków! I ta idiotyczna historyjka o szkielecie, który w martwym mieście trzyma w ręku ognisty kryształ – brednie! Absolutna bzdura! Musiał być szalony, że w to uwierzył – zdecydował z trzeźwością będącą efektem wyczerpania i niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazł.

- No dobra, stary koniu – rzekł biorąc strzelbę. – Ruszajmy. Los zdecyduje, czy umrzemy z pragnienia, czy też zastrzelą nas bracia pustyni. Tak czy owak, nie ma po co tu siedzieć.

- Bóg postanowi – zgodził się uprzejmie Yar Ali. – Słońce wędruje na zachód i wkrótce ogarnie nas chłód nocy. Może jeszcze znajdziemy wodę, sahibie. Spójrz tam, na południe od nas teren się zmienia.

Clarney osłonił oczy od blasku zachodzącego słońca. Za nagim płaskim kilkumilowym pasem krajobraz istotnie



stawał się bardziej urozmaicony. Widoczne były jakieś wzgórza. Amerykanin zarzucił karabin na ramię i westchnął.

- Walimy naprzód. Tutaj i tak jesteśmy tylko żarciem dla sępów.

Zaszło słońce. Księżyc zalał morze piasków magicznym srebrnym światłem. Połyskiwały uformowane przez wiatr długie wydmy. Krajobraz sprawiał wrażenie zamarzniętego, zamarłego nagle w bezruchu morza. Steve kłął pod nosem nękany pragnieniem, które lękał się zaspokoić. Zalana księżycowym blaskiem pustynia była piękna – niby zimna marmurowa bogini wabiąca mężczyzn do zguby. Co za szaleńcza wyprawa! – powtarzał co krok zmęczony umysł Amerykanina. Z każdym stąpieniem Płomień Assurbanipala skrywał się coraz głębiej w labirynty nierealności. Równina przestała być zwyczajnym, rzeczywistym pustkowiem – przysłoniła ją szara mgła wieków, w której śniły się rzeczy minione.

Clarney potknął się i zaklął. Czyżby już padał? Yar Ali sunął przed siebie lekkim, nie znającym zmęczenia krokiem człowieka z gór. Steve zacisnął zęby zmuszając się do większego wysiłku. Wychodzili wreszcie w mniej płaski

teren i marsz stał się trudniejszy. Wąskie przejścia między wzgórkami falistymi liniami przecinały grunt. Większość z nich była niemal całkowicie zasypana piaskiem. Nigdzie nie było ani śladu wody.

- Ta kraina obfitowała kiedyś w oazy – stwierdził Yar Ali. – Allach jeden wie, ile stuleci temu pochłonęły ją piaski, tak jak to się stało z tyloma miastami w Turkiestanie.

Parli naprzód, niby dwa upiory w szarej krainie śmierci. Księżyc chylił się ku zachodowi, czerwieniejąc złowrogo. Mglista czerń opadła na pustynię, zanim doszli do miejsca, skąd mogliby dojrzeć, co znajduje się za pasmem wzgórz. Nawet ogromny Afgańczyk powłóczył nogami, a Steve tylko straszliwym wysiłkiem woli utrzymywał się w pozycji wyprostowanej. Dotarli wreszcie na jakby grań, za którą teren opadał łagodnie ku południowi.

- Odpoczniemy – zdecydował Steve. – Nie ma wody w tym piekielnym kraju. Nie ma sensu tak ciągle iść. Nogi mam już tak sztywne, jak dwie lufy strzelb. Nie zrobię ani kroku więcej, choćbym miał przez to stracić życie. Tu, od

południa, jest coś w rodzaju ściętego urwiska. Sięga do ramion. Prześpimy się pod nim.

- Czy będziemy trzymać wartę, sahibie?

- Nie – odparł Clarney. – Jeśli Arabowie poderzną nam gardło we śnie, to tym lepiej. I tak już po nas.

Uczyniwszy to pełne optymizmu spostrzeżenie zwalili się bezwładnie na piasek. Yar Ali stał jeszcze, wpatrzony w mylącą wzrok ciemność, zmieniającą usiane gwiazdami niebo w mroczne, pełne cieni studnie.

- Coś tam jest na horyzoncie, na południe od nas – mruknął niespokojnie. – Wzgórze? Trudno powiedzieć. Nie ma nawet pewności, że naprawdę coś widać.

- Zaczynasz już dostrzegać mirażę – rzucił poirytowany Amerykanin. – Kładź się i śpij.

I z tymi słowami zasnął.

Obudziło go świecące mu prosto w oczy słońce. Pierwszym odczuciem po przebudzeniu było pragnienie. Zwilżył wargi wodą z manierki. Zostało jej jeszcze najwyżej na jeden łyk. Yar Ali spał jeszcze. Steve zbadał wzrokiem południowy horyzont i wzdrygnął się. Kopnął śpiącego Afgańczyka.

- Ali, zbudź się! Chyba jednak ci się nie zdawało! Tam jest to twoje wzgórze i, szczerze mówiąc, wygląda dosyć dziwnie.

Afgańczyk przebudził się tak, jak budzą się dzikie zwierzęta – całkowicie i w jednej chwili. Jego dłoń sięgała do długiego noża, oczy poszukiwały wroga. Potem popatrzył za wyciągniętą ręką Steve'a i zadrżał.

- Allachu, o, Allachu! – zaklinał. – Przybyliśmy do kraju dżinów! To nie wzgórze! To kamienne miasto wśród piasków.

Steve skoczył na nogi jak zwolniona nagle stalowa sprężyna. Wstrzymując oddech wpatrywał się w horyzont, po czym wydał z siebie dziki okrzyk. Spod jego stóp zbocze zbiegało w dół, prowadząc ku rozciągającej się na południu równinie. A dalej, na jego oczach, „wzgórze” nabierało kształtów niby unoszący się nad ruchomymi piaskami miraż.

Widział potężne wykruszone mury i potężne wieże. Dookoła nich płynął piasek, niby żywe wrażliwe stworzenie usypujący wał wokół ścian, zmiękczający ostre kontury. Nic dziwnego, że na pierwszy rzut oka całość przypominała wzgórze.

**- Kara – Shehr! – krzyczał dziko Clarney. – Beled – el –Djinn! Miasto śmierci! Więc jednak to nie bajka! Znaleźliśmy je! Wielkie nieba, znaleźliśmy! Chodź, idziemy!**

**Yar Ali pokręcił niepewnie głową i zamruczał pod nosem coś na temat złych dżinów, ruszył jednak w ślad za Amerykaninem. Widok ruin sprawił, że tamten zapomniał o pragnieniu i głodzie, o zmęczeniu, którego nie usunęło kilka godzin snu. Szedł prędko, nie zważając na rosnący upał. W jego oczach płonęła żądza badacza. Bo nie tylko pragnienie zdobycia legendarnego kamienia pchnęło Steve'a Clarneya do narażania życia w tym posępnym pustkowiu – w jego duszy tkwiło uspięne prastare dziedzictwo białego człowieka: pęd do odkrywania wszelkich kryjówek tego świata. I ten pęd rozbudził się pod wpływem dawnych legend.**

**Kroczyli przez równinę oddzielającą pasmo wzgórz od miasta i wydawało się im, że pokruszone mury nabierają wyraźniejszych kształtów, jak gdyby materializowały się z porannego nieba. Miasto zbudowane było z potężnych bloków czarnego kamienia. Nie można było ocenić, jak wysoko sięgają mury, gdyż piasek grubą**

warstwą przysypał ich podstawę. Gdzieś tam ściany runęły, a wyrwy zostały całkowicie pokryte wydmmami.

Słońce dotarło do zenitu. Nadeszło pragnienie, którego zapach i entuzjazm nie potrafiły stłumić. Steve opanowywał cierpienie. Choć jego wysuszone wargi napuchły, mocno postanowił, że nie tknie resztek wody, póki nie znajdzie się w ruinach. Yar Ali zwilżył usta z manierki i resztą płynu próbował podzielić się z przyjacielem, lecz Clarney pokręcił tylko głową. Sunął naprzód.

Dotarli na miejsce w straszliwym popołudniowym upale. Przekroczywszy szeroką wyrwę w zwałonym murze spojrzeli na miasto. Piasek zasypał stare ulice. Wysokie, powalone teraz, na pół zasypane kolumny nabierały fantastycznych kształtów. Wszystkie budowle pokruszył czas i przykryły wydmy. Niewiele pozostało z początkowego planu budowy miasta. Teraz była to po prostu masa nawianego wiatrem piasku i popękanych głazów, nad którą w niepojęty sposób unosiła się niby niewidzialny obłok aury starożytności.

Na wprost nich ciągnęła się jednak szeroka aleja, której konturów nie zdołała zamazać nawet wszystko

zacierająca pustynia ani wiatry stuleci. Po obu jej stronach stały rzędem potężne kolumny. Nie były szczególnie wysokie, piasek zasypał podstawy niektórych. Były za to niezwykle masywne. Na szczycie każdej z nich spoczywała postać, wyrzeźbiona z jednego bloku kamienia. Te wielkie, posępne wizerunki na pół ludzkich, na pół zwierzęcych stworów roztaczały wokół siebie aurę bezrozumnego okrucieństwa. Steve aż krzyknął z zachwytu.

- Skrzydlate byki Niniwy! Byki z ludzkimi głowami! Na wszystkich świętych, Ali, stare mity nie kłamią. To Asyryjczycy zbudowali to miasto. Cała ta historia jest prawdziwa! Musieli tu przybyć, gdy Babilończycy zniszczyli Asyrię – to miasto jest podzwonnym cywilizacji, której dzieła oglądałem. To zrekonstruowany obraz dawnej Niniwy! Patrz!

Wskazywał na wielki gmach wznoszący się na końcu alei, potężną budowlę, której kolumny i ściany z czarnego kamienia urągały piaskom i wiatrom czasu. Ruchome, niszczące wszystko morze opływało jej fundamenty, wlewało się przez bramy; tysiący lat trzeba by jednak, by zalało całą konstrukcję.

- Siedziba demonów – mruknął niespokojnie Yar Ali.

- Świątynia Baala! – krzyknął Steve. – Chodźmy. Bałem się, że piasek przysypał wszystkie świątynie i pałace. Musielibyśmy kopać, żeby znaleźć klejnot.

- Niewiele nam przyjdzie z tego, że nie są zasypane. Tu zginiemy.

- Też tak sędzę – Steve odkręcił pokrywkę manierki. – Napijmy się po raz ostatni. Przynajmniej Arabowie nie przyjdą tu za nami. Są tak zabobonni, że nigdy nie ośmielą się zbliżyć do murów. Napijemy się i umrzemy, tak przypuszczam, ale najpierw znajdziemy klejnot. Chcę trzymać go w ręku, gdy będę umierał. Może za kilkaset lat jakiś szczęśliwy awanturnik odnajdzie nasze szkielety... i Płomień. Jego zdrowie, kimkolwiek by był.

Z tym ponurym żartem Steve osuszył manierkę do końca. Yar Ali uczynił to samo. Rozegrali swą ostatnią kartę, reszta zależała od Allacha.

Poszli szeroką aleją. Afgańczyk, choć nie znający lęku przed żadnym nieprzyjacielem, o ile był to człowiek, rozglądał się nerwowo na boki. Podświadomie oczekiwał widoku strasznej, rogatej twarzy, spoglądającej na niego zza kolumny. Steve także wyczuwał przeraźliwą dawność tego miejsca. Wiedział niemal, że za chwilę z



zapomnianych ulic wytoczą się i zaatakują ich spżowe bojowe rydwany albo rozlegnie się groźny głos trąb. Cisza w wymarłym mieście, pomyślał, jest o wiele bardziej intensywna niż cisza otwartej pustyni.

Podeszli do portalu wielkiej świątyni. Z obu stron szerokiego wejścia wznosiły się rzędy ogromnych kolumn. Stopy grzęzły w głębokiej po kostki warstwie piasku. Z fragmentów muru zwisały jeszcze masywne, spżowe sztaby, niegdyś opasujące wielkie odrzwia. Polerowane drewno spróchniało jednak wiele stuleci temu.

Wkroczyli do olbrzymiego hollu. Las kolumn podtrzymywał jego niknący w półmroku strop. Budowla ta miała robić wrażenie przejmującego lękiem ogromu i dech zapierającego splendoru – jakby jacyś posepni giganci wznieśli tę świątynię na siedzibę dla swych strasznych bogów.

Yar Ali szedł lękliwie, jakby bał się obudzić śpiące bóstwa. Steve nie był przesądny. Czuł jednak, jak ponury majestat tego miejsca obejmuje coraz mocniej i mocniej jego duszę.

Żadne ślady nie były widoczne na zakurzonej posadzce – pół wieku minęło, odkąd śmiertelnie

przerazony, ścigany przez demony turecki żołnierz biegł przez te milczące sale. Nietrudno było pojąć, dlaczego Beduini, zabobonni synowie pustyni, omijali nawiedzone miast – gdyż istotnie było nawiedzone, nie przez upiory może, lecz przez cień dawnej chwały.

Wiele pytań nurtowało Steve'a, gdy kroczyli przez nie kończący się holl. W jaki sposób uciekający przed wściekłością rozszalałych buntowników zdołali wznieść te mury? Jak udało im się przejść przez kraj wrogów – przecież między Asyrią a pustynią arabską leżał Babilon? A przecież było to jedyne miejsce, gdzie mogli uciekać – na zachodzie mieli Syrię i morze, na wschodzie i północy hordy groźnych Medów, zapalczywych Ariów. To ich pomoc dała siłę zbrojnemu ramieniu Babilonu i ten w proch rozbił swego odwiecznego wroga.

A może, myślał Steve, Kara – Shehr – jakkolwiek nazywało się to miasto w tamtej odległej epoce – zbudowano jako wysunięty posterunek w czasach poprzedzających upadek Imperium Asyrii i tu schroniły się niedobitki, gdy państwo zostało rozbite. Zupełnie możliwe, że Kara – Shehr przeżyło Niniwę o kilkaset lat.

**Dziwne miasto... pustelnia, bez wątpienia odcięta od reszty świata.**

**Z pewnością, jak twierdził Yar Ali, była tu kiedyś żyzna kraina, obfitująca w wodę i oazy. Gdzieś w pasie wzgórz, które minęli nocą, znajdowały się niewątpliwie kamieniołomy, dostarczające materiału do budowy.**

**Co spowodowało upadek? Czy napór pustyni i wysychanie źródeł skłoniły ludzi do porzucenia miasta, czy też Kara – Shehr było martwe, zanim jeszcze piasek przesypał się przez mury? Czy zguba nadeszła z zewnątrz czy od wewnątrz? Czy to wojna domowa wyniszczyła mieszkańców, czy wymordował ich jakiś potężny nieprzyjaciel, który nadszedł z pustymi? Zniechęcony Clarney pokręcił głową markotnie – odpowiedzi na jego pytania zaginęły gdzieś w labiryntach zapomnianych epok.**

**- Allah akbar!**

**Przeszli wreszcie przez długi, ciemny holl. Na jego końcu zobaczyli ohydny ołtarz czarnego kamienia, nad którym wznosił się posąg dawnego boga, zwierzęcy i straszny. Steve wzruszył ramionami. Rozpoznał potworny wizerunek – tak, to był Baal. W minionych wiekach wiele wrzeszczących, wryrywających się obnażonych ofiar złożyło**

mu w hołdzie swą nagą duszę. Ten bożek, w swym absolutnym, przepastnym, posępnym bestialstwie uosabiał ducha tego diabelskiego miasta. To pewne, rozważał Steve, że budowniczy Niniwy i Kara – Shehr byli inni niż dzisiejsi ludzie. Zbyt wymyślna była ich kultura i sztuka, nazbyt ogołocona z jakichkolwiek jaśniejszych aspektów człowieczeństwa, by być w pełni ludzka w sposób, w jaki rozumieją to współcześni. Ich architektura była odpychająca; oczywiście, dowodziła wysokiego kunsztu budowniczych, lecz tak była masywna, ponura, bez polot, że nie mieściła się niemalże w granicach pojmowania człowieka dzisiejszego.

Przeszli przez wąskie drzwi, które znaleźli w końcu hollu, tuż przy bożku. Wkroczyli w amfiladę szerokich, ciemnych, zasypanych kurzem komnat, połączonych korytarzami, gdzie stały jeszcze rzędy kolumn. Szli naprzód w szarym, widmowym świetle, aż dotarli do szerokich schodów, których masywne stopnie niknęły z oczy w szarym cieniu gdzieś w górze. Yar Ali zatrzymał się.

- Na wiele się odważyliśmy, sahibie – rzekł. – Czy warto nam ryzykować więcej?

**Steve, choć przepelniony żądzą poznania wszystkich tajemnic świątyni, rozumiał, co dzieje się w duszy Afgańczyka.**

**- Myślisz, że nie powinniśmy wchodzić na te schody?**

**- Mają zły wygląd. Do jakich miejsc ciszy i przerażenia mogą nas zaprowadzić? Kiedy dżin nawiedza opuszczony dom, czai się w górnych pokojach. Demon może w każdej chwili odgryźć nam głowy.**

**- I tak jesteśmy już martwi – stwierdził Clarney. – Ale coś ci powiem. Wróć do wejścia i uważaj, czy nie zbliżają się Beduini, a ja wejdę na górę.**

**- Pilnuj wiatru na horyzoncie – oparł ponuro Afgańczyk. Załadował karabin i sprawdził, czy jego długi nóż lekko wychodzi z pochwy. – Przecież żaden Arab się tu nie zbliży. Prowadź, sahibie. Jesteś szalony jak wszyscy Frankowie, ale nie mogę zostawić cię sam na sam z dżinem.**

**Tak więc razem weszli na szerokie schody. Stopy głęboko grzęzły im w kurzu od stuleci zbierającym się na każdym stopniu. Szli wciąż w górę, ku niezwykłym wysokościami. Głębia, którą zostawili pod sobą, rozpływała się w mglistym półmroku.**

- Idziemy jak ślepcy prosto ku swej zgubie, sahibie – szepnął Yar Ali. – Allach il Allach, a Mahomet jest jego prorokiem. Czuję obecność śpiącego zła. Wiem, że już nigdy nie usłyszę wiatru wiejącego przez Przesmyk Khyber.

Steve nie odpowiedział. Jemu także nie podobała się martwa cisza panująca w opuszczonej świątyni ani posępny szary blask sączący się z jakiegoś ukrytego źródła.

Wreszcie półmrok nad nimi pojaśniał nieco weszli do wielkiej, okrągłej komory, słabo oświetlonej padającym przez wysoki, podziurawiony strop światłem dnia.

Lecz oprócz tej iluminacji spostrzegli inny jeszcze blask. Steve krzyknął i Yar Ali powtórzył okrzyk.

Stali na najwyższym stopniu szerokich, kamiennych schodów. Spoglądali na rozległą komorę, na zakurzone płyty podłogi i nagie ściany z czarnego kamienia. Mniej więcej ze środka komnaty kilka stopni prowadziło na kamienne podium, na którym stał marmurowy tron. Wokół lśnił i migotał magiczny blask. Zalęknieni, wstrzymali oddech, gdy rozpoznali źródło tego światła.

Na tronie siedział zgarbiony ludzki szkielet – bezkształtny niemal stos zmurszałych kości. Pozbawiona

**ciała ręka spoczywała na poręczy, zaciskając w strasznych palcach, zmienny niby żywe stworzenie wielki purpurowy kryształ.**

**Płomień Assurbanipala! Nawet gdy już udało im się odnaleźć zaginione miast, Steve nie pozwalał sobie wierzyć, że znajdą klejnot, czy choćby, że istnieje on naprawdę. Nie mógł jednak wątpić w świadectwo własnych oczu, oślepianych przez tajemnicze, złowrogie lśnienie. Z dzikim okrzykiem skoczył przez komnatę i rzucił się po stopniach w górę. Yar Ali pędził tuż za nim, a gdy Clarney wyciąga rękę, by pochwycić kamień, Afgańczyk położył mu dłoń na ramieniu.**

**- Stój! Zawołał. – Nie dotykaj go, sahibie. Klątwa ciąży na takich skarbach, a ten z pewnością przeklęty jest trzykrotnie. Gdyby tak nie było, to dlaczego leżałby od tylu wieków nie tknięty w tej krainie złodziei? Nie trzeba zakłócać spokoju tego, co należy do umarłych.**

**- Brednie! – prychnął Amerykanin. – Przesady! Beduini lękają się powtarzanych od pokoleń legend. Jako mieszkańcy pustyni w ogóle nie ufają miastom, a to miasto, gdy jeszcze żyło, bez wątpienia zasłużyło sobie na fatalną reputację. A przecież oprócz Beduinów nikt dotąd nie**

widział tego miejsca, poza owym Turkiem, który po swoich przeżyciach i tak był pewnie obłąkany. Ten szkielet może oczywiście należeć do króla z legendy, ale wątpię, choć suche powietrze pustyni może zakonserwować kości na całą wieczność. Pewnie jakiś Asyryjczyk, a najpewniej Arab znalazł kamień, a potem umarł na tronie z tej czy innej przyczyny.

Afgańczyk prawie go nie słuchał. Wpatrywał się w wielki kryształ z trwożną fascynacją, z jaką patrzy w oczy węża zahipnotyzowany ptak.

- Spójrz na niego, sahibie – szepnął. – Cóż to jest? Nigdy jeszcze ludzkie ręce nie szlifowały takiego klejnotu. Patrz, zmienia się i pulsuje niby serce kobry.

Steve patrzył, czując dziwny, nieokreślony niepokój. Znał się na kamieniach szlachetnych, lecz nigdy w życiu nie widział niczego podobnego. Z początku sądził, że ma do czynienia z gigantycznym rubinem, jak zapewniała legenda. Teraz jednak nie był już tego pewien. Gnębiło go uczucie, że Yar Ali ma rację, że nie jest to żaden zwykły, naturalny klejnot. Nie umiał sklasyfikować szlif. Moc upiornego światła była tak wielka, że trudno było przypatrywać mu się dłużej niż przez chwilę. Przy tym



cała sceneria nie koła napiętych nerwów. Warstwa kurzu na posadzce sugerowała nadnaturalną starość, szare światło budziło poczucie nierealności, a grube czarne mury przywodziły na myśl rzeczy ukryte.

- Bierzmy kamień i chodźmy stąd – mruknął Steve. W jego piersi rodził się niezwykle paniczny lęk.

- Czekaj! – płonące oczy Yar Alego wpatrywały się nie w klejnot, lecz w ciemne, kamienne ściany. – Jesteśmy niby muchy w legowisku pająka. Na Allacha żywego, sahibie, nie tylko widma dawnych strachów czają się w tym mieście grozy! Czuję niebezpieczeństwo, jak czułem je już nieraz: jak w grocie w dżungli, gdzie niewidoczny w ciemnościach krył się pyton, jak w świątyni Thugów, w której dusiciele Sziwy czekali, żeby się na nas rzucić – to samo uczucie mam teraz, tylko po dziesięciokroć silniejsze!

Włosy zjeżyły się na głowie Amerykanina. Wiedział dobrze, że Yar Ali, doświadczony weteran, nie poddałby się lękowi, nie dał ponieść bezsensownej panice. Pamiętał zdarzenia, o których wspominał Afgańczyk. Pamiętał też i inne sytuacje, w których telepatyczny instynkt towarzysza uprzedzał ich o zagrożeniu, nim jeszcze można je było usłyszeć czy zobaczyć.

**- O co chodzi, Ali? – wyszeptał.**

**Afgańczyk potrząsnął głową. Oczy rozjarzyły mu się dziwnym, tajemniczym blaskiem, gdy nasłuchiwał niejasnych, nadnaturalnych wskazówek swej podświadomości.**

**- Nie wiem. Wiem, że to jest blisko, że jest bardzo stare i bardzo złe. Sądzę... - przerwał nagle i odwrócił się. Niesamowity blask zgasł w jego oczach. Zastąpiło go spojrzenie pełne wilczej ostrożności i lęku.**

**- Uwaga, sahibie! – rzucił. – Duchy albo umarli wchodzą schodami.**

**Steve zeszywniał. Do jego uszu także dobiegło ukradkowe stąpanie miękkich sandałów.**

**- Na Judasza, Ali! – szepnął. – Coś nadchodzi...**

**Chór gwałtownych wrzasków odbił się echem od starych murów. Tłum dzikich postaci komnatę. Przez jeden moment oszołomiony Amerykanin wierzył święcie, że oto atakują ich obleczeni na powrót w ciało wojownicy dawnych wieków. Potem znany gwizd kulo przelatującej koło głowy i ostry zapach prochu przekonał go, że przeciwnicy są aż nadto materialni. Zaklął – wyimaginowane poczucie bezpieczeństwa sprawiło, że**

ścigający ich Arabowie schwytali ich niby szczury w pułapkę.

Zanim Clarney zdążył unieść karabin, Yar Ali strzelił celnie z biodra, rzucił w tłum pustą strzelbę i jak wicher skoczył w dół. W jego dłoni zaśnił trzystopowy nóż z Khyber. Radość walki mieszała się u niego z ulgą, że przeciwnicy okazali się ludźmi. Pocisk zerwał mu z głowy turban i w tej samej chwili jeden z Arabów zwałił się na podłogę z czaszką rozplataną pierwszym ciosem broni górala.

Wysoki Beduin przystawił lufę swej strzelby do boku Afgańczyka. Nim zdążył nacisnąć spust, strzał Clarneya rozwalił mu głowę. Napastnicy samą swą liczbą przeszkadzali sobie w ataku na olbrzymiego Afgańczyka. Jego tygrysia zręczność i szybkość czyniły strzały bardziej niebezpiecznymi dla nich niż dla niego. Wokół Yar Alego przelewała się więc masa Beduinów, kłując szablami i tłukąc kolbami strzelb. Inni ruszyli po schodach do Steve'a. Na tak bliską odległość nie mógł on chybić. Amerykanin zwyczajnie wepchnął lufę w brodatą twarz i ruchem palca zmienił ją w upiorną maskę. Wyjąc jak pantery nadbiegali już następni przeciwnicy.

**Gotów do wystrzelenia swego ostatniego naboju Clarney w mgnieniu oka dostrzegł dwie rzeczy: dzikiego wojownika z pianą na brodzie i wzniesioną do ciosu ciężką szablą, który już do niego dobiegał, i innego, który przyklękawszy starannie brał na cel nurkującego w tłumie Yar Alego. Błyskawicznie dokonał wyboru. Wypalił ponad ramieniem biegnącego, pewnie trafiając w strzelca. Z własnej woli poświęcił życie, by ratować przyjaciela, gdy ostrze szerokim łukiem sięgało już ku jego głowie. Gdy jednak Arab, dysząc, wszystkie swe siły włożył w zamach, jego obuta w sandał stopa ześliznęła się z marmurowego stopnia. Zakrzywione ostrze zmieniło kierunek, odbijając się od lufy strzelby Steve'a. Ten błyskawicznie chwycił broń jak maczugę. Kiedy Beduin odzyskawszy równowagę znowu wznosił szablę do ciosu, uderzył z całych sił. Kolba i czaszka napastnika roztrysnęły się jednocześnie.**

**Wtedy trafiła go w ramię ciężka kula. Kiedy zataczał się, oszołomiony wstrząsem, jeden z Beduinów oplątał wokół jego nóg swój burnus i szarpnął. Clarney runął ze schodów i ze straszną siłą zwałił się na podłogę. Kolba karabinu podniosła się, by rozwalić mu czaszkę, lecz cios powstrzymał wydany władczy tonem rozkaz:**

**- Nie zabijać go! Związać tylko ręce i nogi.**

**Steve, walcząc ślepo z dziesiątkiem chwytających go rąk, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że gdzieś słyszał już ten głos.**

**Cała walka trwała nie dłużej niż kilka sekund. Zanim jeszcze przebrzmiał drugi wystrzał Amerykanina, Yar Ali niemal odciął rękę jednemu z Arabów i sam potężnie oberwał kolbą w lewe ramię. Noszony mimo upału płaszcz z owczej skóry uchronił go od pół tuzina tnących ostrzy. Tuż przy jego twarzy wypaliła strzelba. Proch poparzył go ból wyrwał dziki, krwiożerczy ryk z jego ust. Uniósł do ciosu ociekające krwią ostrze. Strzelec z poszarzała twarzą uniósł oburącz nad głowę karabin, starając się odparować uderzenie. Widząc to Afgańczyk, wyjąc w szaleńczym uniesieniu, zwinął się jak kot i wbił długi nóż w brzuch Beduina. W tej samej jednak chwili kolba, pchana całą siłą złej woli, którą zdołał zmobilizować jej właściciel, spadła na głowę olbrzyma, zalewając mu krwią włosy i rzucając go na kolana.**

**Milczący, pchany dziką zawziętością swego narodu, Yar Ali powstał zataczając się i ciał przeciwników, których z trudem mógł dostrzec. Nawałnica ciosów powaliła go**

znowu. Atakujący nie przerwali bicia, póki nie stanowczy rozkaz ich wodza. Związane go i nieprzytomnego Afgańczyka rzucili obok Steve'a. Amerykanin był całkowicie świadomy i czuł wściekły ból, promieniujący z rany od kuli w ramieniu.

Popatrzył na wysokiego Araba, przyglądającego mu się z góry.

- No i cóż, sahibie – powiedział tamten i Steve spostrzegł, że wcale nie jest Beduinem. – Nie przypominasz mnie sobie?

Clarney jęknął. Rana od kuli nie sprzyja koncentracji.

- Skądś cię znam... na Judasza! To ty? Nureddin el Mekru!

- Cóż za zaszczyt dla mnie! Sahib pamięta – Nureddin skłonił się szyderczo. – Pamiętasz także, nie wątpię, przy jakiej okazji obdarowałeś mnie tym! – jego oczy rozbłysły ponurą groźbą, gdy wskazał wąską, białą bliznę na dolnej szczęce.

- Pamiętam – warknął Amerykanin, którego wściekłość i ból na ogół nie skłaniały do uległości. – To było w Somalii, dawno temu. Handlowałeś wtedy

niewolnikami. Uciekł ci jakiś półzywy Murzyn i u mnie szukał schronienia. Pewnej nocy butnie, jak to jest w twoim stylu, wkroczyłeś do obozu, wszcząłeś awanturę i oberwałeś rzeźnickim nożem po gębie. Żałuję, że nie poderzynałem ci wtedy gardła.

- Miałeś swoją szansę – odparł Arab. – Teraz karta się odwróciła.

- Wydawało mi się, że twój teren leży bardziej na zachodzie – mruknął Clarney. – Jemen i część Somalii.

- Dawno rzuciłem handel niewolnikami – wyjaśnił szejk. – To już przebrzmiała historia. Przez jakiś czas prowadziłem bandę złodziei w Jemenie, a potem znowu zmuszony byłem do zmiany miejsca pobytu. Przybyłem z garstką wiernych towarzyszy tutaj. Na Allacha, te dzikusy z początku o mało co nie poderznęły mi gardła! Przełamałem jednak ich nieufność i teraz idzie za mną więcej wojowników niż kiedykolwiek. Ci, z którymi wczoraj walczyliście, też byli ode mnie. To zwiadowcy, których posłałem przodem. Moja oaza znajduje się daleko stąd, na zachodzie. Zdązałem właśnie do tego miasta. Gdy wrócili zwiadowcy i opowiedzieli mi o dwóch włóczęgach, nie zboczyłem z drogi. Miałem ważne sprawy do

załatwienia w Beled – el – Djinn. Wjechaliśmy tu od zachodu i zauważyliśmy na piasku wasze ślady. Ruszyliśmy za nimi, a wy jak ślepe bawoły nie słyszeliście naszego przybycia.

- Nie dostałbyś nas tak łatwo – warknął Steve. – Tyle że się nam zdawało, iż żaden Beduin nie odważy się zbliżyć do Kara – Shehr.

Nureddin pokiwał głową.

- Ale ja nie jestem Beduinem. Podróżowałem daleko, wiele krain, wiele ludów poznałem, przeczytałem wiele ksiąg. Wiem, że lęk jest jak dym, że martwi nie wstaną, a dziny, klątwy i upiory to mgła, którą wiatr rozwiewa. To właśnie legenda o czerwonym kamieniu sprowadziła mnie na tę zakazaną pustynię. Całe miesiące straciłem na przekonanie moich ludzi, żeby przyjechali tu ze mną. I wreszcie jestem. A wasza tu obecność jest przemiłą niespodzianką. Domyślasz się zapewne, czemu kazałem brać was żywcem – planuję bardzo wymyślne rozrywki dla ciebie i tej świni Patanu. No, a teraz zabieram Płomień Assurbanipala i jedziemy.

Zwrócił się w stronę podwyższenia.



**- Wstrzymaj się, panie! – wykrzyknął na ten widok jeden z jego ludzi, jednooki brodaty olbrzym. – Pradawne zło władało tym miastem przed nadejściem dni Mahometa! Dżiny wyją w tych komnatach, gdy wiatr zawieje. Ludzie widywali upiory w świetle księżyca tańczące na murach. Od tysiąca lat żaden śmiertelnik nie odważył się wejść do Czarnego Miasta – prócz jednego, pół wieku temu, który uciekł krzycząc z przerażenia. Przybyłeś z Jemenu, nie znasz więc pradawnej klątwy, co ciąży nad tym nieczystym miejscem i nad złowrogim klejnotem, pulsującym niby serce szatana. Przybyliśmy tu z tobą wbrew swej woli, wykazałeś bowiem, że jesteś silny. Powiedziałeś też, że znasz zakłęcie przeciwko istotom zła. Mówiłeś, że chcesz spojrzeć tylko na ten tajemniczy kryształ, a teraz widzimy, że jest twym zamiarem zabrać go. Nie narażaj się dżinom!**

**- Nie, Nureddinie, nie narażaj się dżinom! – zawołali chórem Beduini.**

**Dawni zatwardziali łotrzykowie szejka, stojący zwartą grupą w pewnym oddaleniu od reszty, zachowywali milczenie. Zaprawieni w rozboju i czynach bezbożnych, mniej byli podatni na przesady niż ludzie pustyni, którym od wieków powtarzano historie o przeklętym mieście.**

**Steve, choć z całej mocy nienawidził Mekru, zrozumiał, jak magnetyczną siłą dysponował ten człowiek z osobowością przywódcy, która aż do tego momentu pozwoliła mu przewycięzać zakorzenione od stuleci tradycje i lęki.**

**- Klątwę rzucono na niewiernych, którzy ośmielają się naruszać spokój tego miasta – powiedział dumnie Nureddin. – Nie dotyczy ona wiernych. Sami widzicie: w tej Sali zwyciężyliśmy te psy.**

**Siwobrody Arab, jastrząb pustyni, pokręcił głową.**

**- Ta klątwa starsza jest od Mahometa, nie rozróżnia też ani rasy, ani wiary. Żli ludzie zbudowali ten gród u zarania dziejów. Ciemnęli naszych przodków z czarnych namiotów i walczyli między sobą. Tak, krew plamiła czarne mury, echem odbijały się wrzaski bluźnierczych zabaw i szepty strasznych intryg. A oto jak trafił tu ten klejnot. Żył na dworze króla Assurbanipala pewien czarnoksiężnik, dla którego nie kryła tajemnic mroczna mądrość dawnych wieków. Dla sławy i umocnienia swej potęgi wtargnął w ciemność bezimiennej ogromnej jaskini w ponurej nieznannej krainie i z zamieszkałych przez potwory głębi wyniósł ten lśniący klejnot, który wycięty jest z zamrożonych ogni Piekła! Używając swej strasznej**

mocy i wiedzy o czarnej magii rzucił zaklęcie na demona, który strzegł kamienia. Tak oto go wykradł. A demon spał w nie znanej nikomu jaskini. Ów czarnoksiężnik – o imieniu Xuthltan – żył na dworze sułtana Assurbanipala i czynił czary, i przepowiadał przyszłe zdarzenia zaglądając w tajemne głębie kryształu, gdzie żadne oczy prócz jego oczu nie mogły spojrzeć, by nie oślepnąć. A lud nazwał ten klejnot Płomieniem Assurbanipala dla chwały swego władcy. Źle jednak zaczęło dziać się w królestwie ludzie gadali, że to klątwa dzina. Przerażony sułtan błagał Xuthltana, by z powrotem rzucił klejnot do groty, z której go zabrał, aby większe jeszcze nie spotkało ich nieszczęście. Nie było wszakże wolą maga, by zwrócić kryształ, w którym mógł czytać sekrety sprzed dni Adama. Uciekł więc do zbuntowanego miasta Kara – Shehr, w którym wkrótce rozpętała się wojna domowa. Ludzie rozszarpywali sobie gardła, by zawładnąć klejnotem. Władca miast także go pożył. Schwycił więc czarnoksiężnika i skazał na śmierć w torturach. W tej właśnie komnacie obserwował jego konanie. Z klejnotem w ręku zasiadł na tronie... jak siedzi tam od wieków... jak siedzi tam i teraz!

**Arab wyciągnął rękę w stronę stosu zmurszałych kości na marmurowym tronie. Dzicy jeźdźcy pustyni pobledli. Nawet dawni zbóje Nureddina cofnęli się wstrzymując oddech. Sam szejek jednak nie okazał ni śladu niepokoju.**

**- Kiedy Xuthltan umierał – mówił dalej stary Beduin – przeklął kamień, którego moc nie zdołała go ocalić. Wykrzyczał straszliwe słowa, co zdjęły rzucone na demona zaklęcie. Wypuścił go na wolność. Wezwał imion zapomnianych bogów, Cthulhu i Kotha, Yao – Sothotha i przedadamowych mieszkańców czarnych miast pod morzami i w głębinach ziemi, przywołał ich, by wzięli to, co do nich należy. Z ostatnim tchnieniem rzucił klątwę na samozwańczego króla. Rzekł, że dopóki nie rozlegną się gromy Dnia Sądu, pozostanie na tronie z Płomieniem Assurbanipala dłoni. Wielki kamień krzyknął wtedy, jak krzyczy żywe stworzenie. Król i jego żołnierze zobaczyli unoszącą się z podłogi czarną chmurę. Powiał z niej cuchnący wicher i zjawiała się straszna postać. Wyciągnęła potworne łapy i chwyciła władcę, który pomarszczył się i skonał od tego dotknięcia. Żołnierze zaś uciekli z krzykiem i wszyscy mieszkańcy lamentując ruszyli w pustynię, gdzie**

zginęli, lub poprzez pustkowia dotarli do dalekich miast. Kara – Shehr pozostało milczące i opuszczone, odwiedzane tylko przez szakale i jaszczurki. A gdy ludzie pustyni wyprawili się tutaj, znaleźli martwego króla na tronie. Wciąż trzymał w ręku płomienny klejnot. Nie odważyli się go dotknąć. Wiedzieli, że w pobliżu czai się demon, by strzec go przez całe – wieki – tak jak czai się i teraz, gdy my tu stoimy.

Wojownicy wzdrygnęli się mimowolnie i rozejrzeli dookoła.

- Dlaczego demon nie zjawił się, gdy Frankowie weszli do komory? – spytał Nureddin. – Czyżby był głuchy, że nie zbudziły go odgłosy bitwy?

- Nie dotykaliśmy klejnotu – odparł stary Beduin. – Frankowie także nie zakłócili mu spokoju. Ludzie oglądali ten kamień i odchodzili cali, jednak żaden śmiertelnik nie może dotknąć go i pozostać wśród żywych.

Nureddin zaczął coś mówić, popatrzył jednak na niespokojne, zawzięte twarze i pojął nieskuteczność wszelkiej argumentacji. Ton jego głosu zmienił się nagle.

- Ja tu jestem panem! – krzyknął sięgając dłonią do olstra. – Nie po to krew i pot wylewałem, by dostać się

tutaj, żeby już u celu przeszkodziły mu jakieś bzdurne strachy. Cofnąć się wszyscy! Głową zapłaci, kto spróbuje mnie powstrzymać!

Obrzucił wojowników płomiennym wzrokiem, a oni skulili się, przerażeni siłą jego okrutnej osobowości. Dumnie wkroczył na marmurowe stopnie. Arabowie wstrzymali oddech, cofając się ku drzwiom; odzyskujący wreszcie przytomność Yar Ali jęknął boleśnie. Boże, pomyślał Steve, cóż za barbarzyńska scena. Związani na zakurzonej podłodze jeńcy, grupki dzikich wojowników kurczowo ściskających broń, ostry, gryzący zapach krwi i spalonego prochu, wciąż jeszcze unoszący się w powietrzu, trupy w kałużach krwi, rozbryźnięte mózgi, rozwleczone wnętrzności – a na podwyższeniu szejka o jastrzębiej twarzy, niebacznego na nic prócz złowróbnego, czerwonego blasku między palcami spoczywającego na marmurowym tronie szkieletu.

Zaległa pełna napięcia cisza. Nureddin wyciągnął rękę, powoli, jak zahipnotyzowany krwistym, pulsującym lśnieniem. W mózgu Clarneya zadrżało niewyraźne echo czegoś potężnego nieopisanie ohydneho, budzącego się z wielowiekowego snu. Odruchowo zbadął wzrokiem

ciemne, cyklopowe mury. Klejnot zmienił swój blask, zapłonął głębszą, ciemniejszą czerwienią, gniewną i groźną.

- Serce wszelkiego zła – mruknął szejka. – Iluż książąt zginęło dla ciebie od zarania zdarzeń? Z pewnością tętni w tobie królewska krew... Sułtanowie, księżniczki, hetmani, wszyscy, którzy cię nosili, zmienili się w proch, zniknęli w mrokach zapomnienia, a ty lśniesz w nieprzemijającej chwale, płomieniu świata...

Chwycił kamień. Gwałtowny lament Arabów przecięty został ostrym, niehumanym wrzaskiem. Clarneyowi wydało się, że to krzyczy klejnot – głosem żywego stworzenia. Wyśliznął się z dłoni szejka. Nureddin mógł go upuścić, lecz dla Steve'a wyglądało to, jakby kryształ szarpnął się konwulsyjnie niby żywa istota. Odbijając się na stopniach potoczył się w dół. Nureddin pędził za nim i klął, gdy jego rozcapierzone palce chybiały celu.

Klejnot uderzył o podłogę, kręcił ostro i mimo grubej warstwy kurzu niby wirująca kula ognia potoczył się w stronę tylnej ściany, Nureddin był tuż za nim... klejnot uderzył o mur... dłoń szejka sięgała po niego...

Ryk śmiertelnego przerażenia rozdarł ciszę. Bez żadnego ostrzeżenia lity mur rozstąpił się. Z czarnego otworu wystrzeliła macka, pochwyciła ciało szejka jak pyton, gdy oplata swą ofiarę, i głową naprzód wciągnęła go w ciemność. A potem ściana znowu stała się równa i gładka, jedynie gdzieś z wnętrza rozlegał się straszny wysoki zduszony wrzask, który zmroził krew w żyłach słuchających. Beduini z wyciem rzucili się do ucieczki, stłoczoną lamentującą masą przepchnęli się przez drzwi i oszaleli ze strachu runęli w dół.

Steve i Yar Ali leżąc bezradnie słuchali, jak cichną w oddaleniu odgłosy szaleńczej ucieczki. Z niemą zgrozą wpatrywali się w mur. Krzyk ucichł, zastąpiony przez straszniejszą jeszcze ciszę. Wstrzymali oddech. Nagle, przejści chłodem, usłyszeli miękki odgłos kamienia czy metalu, przesuwającego się po wyrobionych łożysku. Ukryte przejście zaczęło się otwierać i Steve dojrzał w ciemności słabe lśnienie, które mogło być blaskiem potwornych oczu. Zacisnął powieki – nie śmiał spojrzeć na grozę wypełzającą z przerażającej czarnej otchłani. Wiedział, że pewnych rzeczy ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć. Wszystkie pierwotne instynkty jego duszy



**ostrzegaly go przed tym koszmarem. Domyślał się, że Yar Ali także ma oczy zamknięte. Leżeli obaj jak martwi.**

**Nie usłyszał nic, wyczuł jednak obecność zła zbyt potwornego, by ludzkie umysł mógł je zrozumieć, obecność przybysza z Zewnętrznych Otchłani, z odległych, czarnych rubieży kosmosu. Chłód śmierci przeniknął komnatę i Steve poczuł, jak przepala jego zaciśnięte powieki, mrozi mózg spojrzenie nieludzkich oczu. Jeśli by spojrzął, jeśli by choć na chwilę otworzył oczy, całkowity obłąd stałby się jego udziałem.**

**Poczuł na twarzy cuchnący oddech i wiedział, że potwór pochyla się nad nim. Leżał nieruchomo w uścisku koszmarnego przerażenia. Powtarzał w myślach jedno: ani on, ani Yar Ali nie dotykali klejnotu, którego strzegło to monstrum.**

**Potem rozplynął się wstrętny odór, chłód cofał się stopniowo, znowu sekretne drzwi przesunęły się w swym łożysku. Potwór wracał do swojej kryjówki. Wszystkie legiony piekieł nie powstrzymałyby Steve'a od spojrzenia – choćby przez moment. Jeden rzut oka, nim zatrzasnęły się drzwi, tylko jeden, lecz aż nadto wystarczył, by jego mózg utracił wszelki kontakt z rzeczywistością. Steve Clarney,**

**poszukiwacz przygód, człowiek o nerwach ze stali, zemdłał po raz pierwszy w swoim burzliwym życiu.**

**Ile czasu leżał bez zmysłów, nie dowiedział się nigdy. Nie mogło to jednak trwać zbyt długo. Gdy bowiem ocknął się, usłyszał cichy szept Yar Alego:**

**- Leż spokojnie, sahibie. Zegnę się jeszcze trochę i sięgnę zębami twoich więzów.**

**Clarney poczuł, jak potężne szczęki Afgańczyka zaczynają przegryzać sznury. Leżał tak w niewygodnej pozycji, z wciśniętą w pył twarzą, zranione ramię pulsowało wściekłym bólem – teraz dopiero przypomniał sobie o ranie – i starał się zebrać razem poszarpane nitki wspomnień. Powróciło wszystko, co widział. Jak wiele z tego, myślał półprzytomny, było delirycznym koszmarem, biorącym się ze zmęczenia i wysuszającego gardło pragnienia? Walka z Arabami była rzeczywistością, więzy i rany dowodziły tego wyraźnie, ale straszny los szejka i to coś, co wylazło z czarnego otworu w murze – to z pewnością były złudy. Nureddin musiał wpaść do jakiejś piwnicy albo studni...**

**Steve poczuł, że ręce ma wolne. Poszperawszy po kieszeniach znalazł nie zauważony przez Arabów scyzoryk.**

**Nie podnosił głowy, nie rozglądał się, gdy przecinał sznur na kostkach i uwalniał Yar Alego. Praca była ciężka, jako że lewe ramię było sztywne i bezużyteczne.**

**- Gdzie Beduini? – spytał, gdy Afgańczyk wstał i pomógł mu się podnieść.**

**- Na Allacha, sahibie! – szepnął tamten. – Czyś oszalał? Zapomniałeś? Chodźmy stąd prędko, zanim dżin powróci.**

**- To był koszmarny sen – mruknął Amerykanin. – O, popatrz, klejnot z powrotem jest na tronie... - głos zamarł mu w gardle. Czerwony blask znów pulsował wokół tronu, oświetlając spróchniałe kości. – Płomień Assurbanipala na powrót tkwił w palcach szkieletu. U podnóża schodów leżał jednak przedmiot, którego nie było tu przedtem – odcięta głowa Nureddina el Mekru niewidzącym wzrokiem spoglądała na sączące się przez strop szare światło. Bezkrwiste wargi odsłaniały zęby w strasznym uśmiechu, w oczach zastygł wyraz nieopisanej grozy. W grubej warstwie kurzu na podłodze odcisnęły się trzy rzędy śladów. Jedne zostawił szejik, goniąc toczący się ku ścianie klejnot. Pozostałe prowadzące do tronu i z powrotem do muru, były wielkimi bezkształtnymi odciskami**

rozpłaszczonych, gigantycznych szponiastych stóp – ani ludzkich, ani zwierzęcych.

- Mój Boże! – wyduszał z wysiłkiem Clarney. – A więc to prawda... i to Coś... to Coś, które widziałem...

Ucieczkę Steve zapamiętał jako koszmar pośpiechu, gdy obaj na złamanie karku pędzili w dół nie kończących się schodów – szarej studni lęku. Na oślep przebiegli przez zasypane pyłem, milczące sale, obok spoglądającego groźnie bożka w wielkim hollu, prosto w oślepiający blask pustynnego słońca. Wreszcie padli zmęczeni, z trudem chwytając oddech.

Steve ocknął się słysząc głos Afgańczyka.

- Sahibie! Sahibie, nasze szczęście powraca, niech będą dzięki Allahowi Litościwemu!

Jak w transie przyjrzał się swemu towarzyszowi. Ubranie wielkiego Afgańczyka zwisało w krwawych strzępach, on sam oblepiony był kurzem i wysmarowany zakrzepłą krwią, a jego głos brzmiał jak krakanie. W oczach płonęła jednak nadzieja, a drżący palec wskazywał coś.

- Tam, w cieniu rozwalonego muru – wycharczał Yar Ali, starając się zwilżyć językiem szerniałe wargi. –

**Allach il Allach! Konie ludzi, których zabiliśmy! I manierki, i sakwy u siodła! Te psy uciekając nie zatrzymały się, żeby zabrać wierzchowce swoich towarzyszy.**

**W Clarneya wstąpiły nowe siły. Powstał chwiejnie.**

**- Wynośmy się stąd! – wymamrotał. – Ale szybko!**

**Jak konający dowlekli się do koni, odwiązali je i niezdarnie wspięli się na siodła.**

**- Weźmiemy luzaki – wykrakał Steve, a Yar Ali zgodnie pokiwał głową.**

**- Przydadzą się, zanim dotrzemy do wybrzeża.**

**Mimo że ich ciała krzyczały o wodę, przelewającą się w manierkach u siodła, pognali konie i kołysząc się jak dwa trupy pędzili przez zasypaną piaskiem ulicę Kara - Shehr, pomiędzy rozsypującymi się pałacami i skruszałymi kolumnami; przeskoczyli zwalony mur i wjechali na pustynię. Żaden z nich nie obejrzał się na czarną bryłę pradawnej grozy, żaden nie przemówił, póki ruiny nie zniknęły w mgiełce kryjącej horyzont. Wtedy dopiero zatrzymali się i ugasili pragnienie.**

**- Allach il Allach – rzekł nabożnym tonem Yar Ali: - Te psy tak mnie pobiły, że czuję się jakbym miał połamane**

**wszystkie kości. Proszę, zsiądźmy, sahibie. Postaram się wyłuskać tę przeklętą kulę i opatrzyć ramię najlepiej, jak tylko pozwolą mi moje skromne umiejętności.**

**Przy zabiegu Afgańczyk unikał wzroku przyjaciela.**

**- Mówiłeś, sahibie – rzekł wreszcie – mówiłeś, że coś widziałeś. Co to było, powiedz w imię Allacha!**

**Silny dreszcz wstrząsnął potężnym ciałem Amerykanina.**

**- Nie patrzyłeś, gdy... gdy to... to Coś z powrotem włożyło klejnot w dłoń szkieletu i pozostawiło głowę Nureddina?**

**- Nie, na Allacha! – zawołał Afgańczyk. – Moje powieki były zaciśnięte, jakby zespawały je gorące żelaza szatana!**

**Steve milczał, póki nie dosiedli koni, by ruszyć w drogę do odległego wybrzeża. Z zapasowymi końmi, żywnością, wodą i bronią mieli wszelki szanse tam dotrzeć.**

**- Spojrzałem – rzekł Steve posępnie dopiero wtedy. – Chciałbym, by się tak nie stało. Wiem, że ten widok będzie do końca życia prześladował mnie w snach. Przez chwilę widziałem to, lecz nie potrafię opisać tego tak, jak opisać można rzeczy ziemskie. Na Boga, to nie pochodziło z tego**

świata ani nie mogło być tworem normalnego umysłu. Ludzkość nie jest pierwszym władcą ziemi – były tu istoty, zanim pojawił się człowiek, i są jeszcze dziś: niedobitki strasznych, minionych epok. Być może i dzisiaj napierają na nasz materialny wszechświat sfery obcych wymiarów. Czarownicy od dawna przywoływali śpiące demony i rządili nimi z pomocą magii. Można więc przypuszczać, że asyryjski czarodziej wezwał spod ziemi demoniczny żywioł, aby go pomścił i strzegł czegoś, co samo pochodziło z piekła. Postaram się opisać to, co zobaczyłem. Nigdy więcej nie mówmy już o tym. To było ogromne, czarne, niewyraźne, ciężkie monstrum, chodzące wyprostowane, jak człowiek, ale podobne i do ropuchy. Miało skrzydła i macki. Widziałem tylko jego grzbiet, lecz gdybym zobaczył je z przodu, gdybym ujrzał jego twarz – bez wątpienia straciłbym rozum. Ten stary Arab miał rację. Boże, wspieraj nas – to był potwór, którego Xuthltan przywołał z ciemnych, ślepych głębin ziemi, by strzegł Płomienia Assurbanipala!

## POTWÓR NA DACHU

*Huczy głośno wśród nocy  
Ich ciężki krok, niby stoni,  
A ja drzę w swoim łóżku  
I kulę się przerażony.  
Unoszą się wielkie skrzydła  
Na szczytach dachów wysokich  
Dygocących od ciosów  
Ich gigantycznych kopyt.*

**Justin Geoffrey, „Z pradawnej krainy”**

Zacznę od tego, że byłem bardzo zdziwiony, gdy wpadł do mnie Tussman. Nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, gdyż jego charakter najemnika wydał mi się odrażający. Do tego od trzech lat, kiedy to próbował publicznie zdyskredytować moje „Świadectwo obecności kultury Nahuatl na Jukatanie”, stanowiące rezultat wielu lat głębokich studiów, nasze stosunki były dalekie od serdeczności. Mimo wszystko przyjąłem go. Był



nienaturalnie roztargniony, jakby zapomniał o naszej wzajemnej niechęci z powodu jakiejś wielkiej namiętności, która go opanowała.

Szybko się dowiedziałem, jaki był cel jego wizyty. Chciał mianowicie, bym mu pomógł w zdobyciu pierwszego wydania „Bezimiennych kultów” von Juntzta, znanych jako Czarna Księga, nie ze względu na kolor okładki, lecz na zawarte w książce mroczne treści. Z równym powodzeniem mógł mnie prosić o pierwsze greckie tłumaczenie „Necronomiconu”. Wprawdzie od powrotu z Jukatana praktycznie cały swój czas poświęcałem kolekcjonowaniu książek, to jednak nigdy nie natrafiłem na żadną wskazówkę, z której by wynikało, że ów wydany w Dusseldorfie tom gdziekolwiek istnieje.

A teraz parę słów na temat tego niezwykłego dzieła. Ze względu na skrajną wieloznaczność oraz mroczną tematykę długo uważano je za rojenia maniaka, zaś sam autor został wyklęty jako obłąkany. Było jednak faktem, że większość jego ustaleń trudno było podważyć, a także że całe czterdzieści pięć lat swego życia spędził myszkując po egzotycznych krainach i odkrywając mroczne, otchłanne tajemnice. W pierwszej edycji wydrukowano niewiele

egzemplarzy, a i z tego większość została spalona przez przerażonych czytelników po tym, jak pewnej nocy 1840 roku znaleziono von Junzta uduszonego w tajemniczych okolicznościach w jego zaryglowanym pokoju. Stało się sześć miesięcy po jego powrocie z owianej tajemnicą podróży do Mongolii.

Pięć lat później pewien londyński wydawca, niejaki Bridewall, licząc na sensację wypuścił piracką, taną edycję książki w tłumaczeniu. Jego wydanie, pełne groteskowych rycin, naszpikowane było przekręceniami, błędami tłumacza i typowymi omyłkami wynikającymi z marnego druku i braku naukowego opracowania. W rezultacie oryginalne dzieło zdyskredytowane całkowicie, a wydawcy i czytelnicy zapomnieli o nim aż do roku 1909, kiedy to Gulden Gobelin Press z Nowego Jorku zdecydował się na trzecie wydanie.

Tekst został oczyszczony tak starannie, że wycięto ponad czwartą część oryginału. Książka, ładnie oprawiona i ozdobiona wytwornymi i w niesamowity sposób przemawiającymi do wyobraźni ilustracjami Diego Vasqueza, miała ukazać się w masowym nakładzie. Na przeszkodzie stanęły jednak artystyczne gusta wydawców,

a koszt druku okazał się tak wysoki, że wystawiono ją po cenach prohibicyjnych.

Staralem się wytłumaczyć to wszystko Tussmanowi, lecz przerwał mi ostro wyjaśniając, że nie jest w tej sprawie kompletnym ignorantem. Wydanie Gulden Gobelin jest ozdobą jego biblioteki, powiedział, i w nim właśnie natrafił na pewien fragment, który wzbudził jego zainteresowanie. Jeżeli uda mi się zdobyć dla niego egzemplarz oryginalnego wydania z 1839 roku, nie pożałuję. Wiedząc, że proponowanie mi pieniędzy jest bezcelowe, w zamian za starania, jakie podejmę w jego sprawie, wycofa wszystkie zarzuty dotyczące rezultatów moich jukatańskich studiów, a w dodatku przeprosi mnie publicznie na łamach „The Scientific News”.

Muszę przyznać, że byłem zaskoczony. Sprawa musiała być istotnie najwyższej wagi, skoro Tussman skłonny był dla niej do takich ustępstw. Stwierdziłem, iż moim zdaniem w oczach opinii publicznej dałem wystarczający odpór jego oskarżeniom, a nie chciałbym stawiać go w tak ponizającym położeniu. Dołożę jednak wszelkich starań, by uzyskać rzecz, której pożądał tak bardzo.

Podziękował mi pospiesznie. Odchodząc oświadczył dosyć mgliście, iż ma nadzieję znaleźć w Czarnej Księdze znacznie skrócone w późniejszych wydaniach pełne wyjaśnienie pewnej sprawy.

Wziąłem się do dzieła. Po rozesłaniu listów do przyjaciół, znajomych i antykwariuszy z całego świata przekonałem się, że zadanie nie należało do najprostszych. Minęły trzy miesiące, nim moje wysiłki przyniosły rezultaty i dzięki pomocy profesora Jamesa Clementa z Richmond w Wirginii dostałem wreszcie rzecz, na której mi zależało.

Zawiadomiłem Tussmana, który przyjechał z Londynu pierwszym pociągiem. W jego oczach płonęło pożądanie, kiedy spoglądał na gruby, zakurzony wolumin w grubej skórzanej okładce z zardzewiałymi, żelaznymi klamrami, zaś palce drżały mu z niecierpliwości, kiedy przewracał pożółkłe stronic. A kiedy krzyknął dziko i walnął pięścią w stół, wiedziałem, że znalazł to, czego szukał.

- Słuchaj! – rzekł, po czym odczytał mi fragment traktujący o bardzo starej świątyni leżącej w dżungli Hondurasu. W świątyni tej prastare, wymarłe jeszcze

przed przybyciem Hiszpanów plemię oddawało cześć przedziwnemu bogu. Tussman czytał głośno o mumii, będącej za życia najwyższym kapłanem zaginionego ludu, spoczywającej teraz w komorze wykutej w litej skale urwiska, przy którym wzniesiono świątynię. Z zasuszonej szyi mumii zwisał miedziany łańcuch, a na nim wielki purpurowy klejnot rzeźbiony w kształcie ropuchy. Kamień ten, twierdził dalej von Junzt, jest kluczem do skarbu świątyni, ukrytego w podziemnej krypcie głęboko pod ołtarzem.

Oczy Tussmana płonęły.

- Widziałem tę świątynię! Stałem przed ołtarzem! Patrzyłem na zapieczętowane wejście do komory, w której, jak twierdzą miejscowi, spoczywa mumia kapłana. To niezwykła budowla. Bardziej niż ruiny pozostałe po prehistorycznych ludach indiańskich przypomina współczesne budownictwo latynoamerykańskie. Indianie żyjący w pobliżu nie przyznają się do żadnych powiązań z tym miejscem. Mówią, że ludzie, którzy wybudowali tę świątynię, należeli do innej rasy i byli już w tej krainie, gdy przywędrowali ich przodkowie. Osobiście uważam, że te mury są pozostałością po dawnej zaginionej cywilizacji,

której rozkład zaczął się tysiące lat przed nadejściem Hiszpanów. Chciałem wdrzeć się do zapieczętowanej krypty, lecz wtedy nie miałem na to ani dość czasu, ani odpowiedniego sprzętu. Spieszyłem się na wybrzeże, gdyż przypadkowy wystrzał ranił mnie w nogę. Chciałem zbadać je dokładniej, ale okoliczności temu nie sprzyjały. Tym razem nie pozwolę, by cokolwiek stanęło mi na drodze! Szczęśliwym trafem wpadła mi w ręce ta książka w wydaniu Gulden Gobelin, gdzie znalazłem fragment mówiący o świątyni. Był jednak mało szczegółowy, zaledwie wspominał o mumii. Zaciekawiony dotarłem do tłumaczenia Bridewella, ale uderzyłem o ślepy mur idiotycznych błędów. W jakiś denerwujący sposób pomyłono się nawet co do położenia Świątyni Ropuchy, jak ją nazywa von Junzt, i umieszczono ją w Gwatemali zamiast w Hondurasie. Opis jest niedokładny, wspomina jedynie o klejnocie i o tym, że jest on „kluczem”. Do czego kluczem, tego książka Bridewella nie mówi. Poczułem, że wpadłem na trop wielkiego odkrycia, chyba że von Junzt był szaleńcem, jak wielu uważa. Jest jednak rzeczą dowiedzioną, że odwiedził Honduras, i gdyby nie widział świątyni na własne oczy, nie potrafiłby opisać jej tak

dokładnie, jak to czyni w Czarnej Księdze. Nie mam pojęcia, w jaki sposób dowiedział się o klejnocie. Indianie, którzy opowiedzieli mi o mumii, sami o nim nie wiedzieli. Mogę jedynie przypuszczać, że von Junzt zdołał się jakoś dostać do zapieczętowanej krypty. Ten człowiek miał niezwykłą umiejętność docierania do rzeczy ukrytych... Zgodnie z tym, czego się dowiedziałem, oprócz von Junzta i mnie tylko jeden biały człowiek oglądał Świątynię Ropuchy – hiszpański podróżnik Juan Gonzales, który badał ten region w 1793 roku. Wspomina on o dziwnej budowli, całkowicie różnej od większości indiańskich ruin; pisze także, dość sceptycznie, o krążącej wśród tubylców legendzie, według której w podziemiach tej budowli kryje się „coś niezwykłego”. Jestem przekonany, że ma na myśli właśnie Świątynię Ropuchy.

- Proszę zatrzymać tę książkę, nie będzie mi już potrzebna – podjął Tussman po chwili milczenia. – Jutro, tym razem dobrze przygotowany, odpływam do Ameryki Środkowej. Zamierzam znaleźć to coś, co jest ukryte w świątyni, nawet gdybym miał ją zburzyć, a czymże mogłoby to być, jeśli nie ogromnym złotym skarbem? Hiszpanie jakoś go przegapili; gdy zjawili się w Ameryce

**Łacińskiej, Świątynia Ropuchy była opuszczona. Zresztą nie szukali mumii wymarłych ludów, tylko żywych Indian, z których torturami potrafili wycisnąć informacje o bogactwach. Lecz ja zdobędę skarb.**

**Z tymi słowami wyszedł. Otworzyłem księgę w miejscu, gdzie przerwał czytanie, i aż do północy siedziałem pogrążony w zdumiewających, przedziwnych, miejscami zupełnie mętnych opowieściach von Junzta. Znalazłem pewien fragment traktujący o Świątyni Ropuchy, które zaniepokoiły mnie do tego stopnia, że o świcie spróbowałem skontaktować się z Tussmanem. Dowiedziałem się tylko, że już odpłynął.**

**Po kilku miesiącach otrzymałem od niego list, w którym zapraszał mnie na kilka dni do swego majątku w Sussex. Tussman prosił także, bym zabrał ze sobą Czarną Księgę.**

**Do jego leżącej na uboczu posiadłości dotarłem tuż po zmroku. Gospodarz żył w warunkach niemal feudalnych. Wysoki mur oddzielała od świata olbrzymi park i opleciony bluszczem dom. Kiedy szedłem od bramy w stronę budynku szeroką, wysadzaną żywopłotem aleją, zauważyłem, że pod nieobecność właściciela teren nie był**



utrzymywany w należyтым porządku. Rosnące gęsto między drzewami chwasty całkowicie niemal wyparły trawę. Wśród zaniedbanych gąszczy w sąsiedztwie zewnętrznego muru wałęsało się jakieś zwierzę, chyba koń albo wół, gdyż wyraźnie słyszałem stukot kopyt na kamieniach.

Przyglądając mi się podejrzliwie służący wpuścił mnie do środka. Tussman oczekiwał mnie w gabinecie. Niby lew w klatce tam i z powrotem przemierzał pokój. Jego ogromna postać wydała mi się szczuplejsza i bardziej żylasta niż przed wyjazdem; tropikalne słońce spaliło na brąz jego silną twarz, na której pojawiły się nowe, głębokie zmarszczki, a oczy płonęły ogniem gorętszym niż zwykle. Z jego zachowania przebijała tłumiona wściekłość.

- No jak, Tussman? – powitałem go. – Odniosłeś sukces? Znalazłeś złoto?

- Nie znalazłem nawet uncji – warknął. – Cała ta historia to bzdura... no, może nie cała. Udało mi się wejść do zapieczętowanej komory, a w niej istotnie była mumia...

- A klejnot? – spytałem.

Wyjął coś z kieszeni i podał mi. Przyjrzałem się zaciekawiony. Był to wielki kamień, czysty i przejrzysty jak kryształ, lecz złowróźbnej purpurowej barwy. Zgodnie z tekstem von Junzta był wyszlifowany w kształt ropuchy. Zadrzałem mimo woli – wizerunek był szczególnie wstrętny. Moją uwagę zwrócił ciężki, przedziwnie ryty miedziany łańcuch, na którym zwisał klejnot.

- Co to za znaki na tych ogniwach? – spytałem zaciekawiony.

- Trudno powiedzieć – odparł Tussman. – Myślałem, że może pan będzie wiedział. Istnieje pewne odległe podobieństwo między tymi znakami a częściowo zatartymi hieroglifami na monolicie, znanym jako Czarny Kamień, który znajduje się w górach Węgier. Nie potrafiłem ich odczytać.

- Niech mi pan opowie o podróży – poprosiłem. Usiedliśmy trzymając w dłoniach whisky z sodą i Tussman zaczął swoją opowieść z dziwnym ociąganiem.

- Świątynię znalazłem bez większych trudności, mimo że jest położona w słabo zaludnionej i rzadko odwiedzanej okolicy. Wybudowano ją obok skalnego urwiska w pustej dolinie, nie znanej badaczom i nie zaznaczonej na mapach.

Nie będę próbował określić jej wieku, ale została zbudowana z niezwykle twardego bazaltu, jakiego nigdy i nigdzie nie widziałem, zaś jego znaczny stopień zwietrzenia świadczy o niewyobrażalnej starożytności budowli. Większość kolumn tworzących jej fasadę leży w gruzach. Tylko połamane kikuty sterczą z wytartych cokołów niby rzadkie połamane zęby wiedźmy wyszczerzone w uśmiech. Zewnętrzne mury rozsypują się już, lecz wewnętrzne są całe, podobnie jak podtrzymujące strop filary. Wydaje się, że bez kłopotów wytrzymają następne tysiąclecie, tak jak i ściany komory wewnętrznej. Główna sala świątyni to olbrzymie, koliste pomieszczenie z podłogą ułożoną z dużych kwadratowych płyt. Pośrodku stoi ołtarz – po prostu wielki, okrągły, przedziwnie rzeźbiony blok tego samego kamienia. Za nim, wyciosana w litej skale urwiska, tworzącej tylną ścianę Sali, znajduje się krypta, w której spoczywa ciało ostatniego kapłana wymarłego ludu. Włamanie się tam nie sprawiło mi większego trudu. Znalazłem mumię dokładnie tak, jak podaje Czarna Księga. Chociaż była zdumiewająco dobrze zachowana, nie potrafiłem jej sklasyfikować. Zesuszone rysy twarzy i kształt czaszki przywodziły na myśl niektóre

zdegenerowane rasy Dolnego Egiptu i byłem pewien, że kapłan pochodził z ludu spokrewnionego raczej z ludami kaukaskimi niż z Indianami. To wszystko, co byłem w stanie stwierdzić. W każdym razie klejnot był – wisiał na łańcuchu na wysuszonej szyi.

Od tego miejsca opowieść Tussmana stała się tak niejasna, że z trudem ją śledziłem i zastanawiałem się, czy przypadkiem żar tropikalnego słońca nie wpłynął źle na stan jego umysłu. Za pomocą klejnotu otworzył ukryte w ołtarzu drzwi – nie powiedział wyraźnie, w jaki sposób tego dokonał. Zdziwiło mnie, że najwyraźniej sam nie bardzo pojmował działanie tego kryształowego klucza. Samo otwarcie jednak fatalnie wpłynęło na towarzyszących mu zabijaków, którzy zdecydowanie odmówili wejścia z nim w ziejący otwór, jaki pojawił się tajemniczo, gdy tylko kamień dotknął ołtarza.

Tussman poszedł sam, uzbrojony w pistolet i latarkę elektryczną. Po wąskich, kamiennych stopniach prowadzących spiralnie jak gdyby w głąb ziemi zszedł do wąskiego korytarza, tak ciemnego, że czerń zdawała się całkowicie pochłaniać wąski promień światła. Z dziwną niechęcią wspomniał też o ropusze, która przez cały czas,

gdy przebywał pod ziemią, skakała przed nim, tuż poza świetlnym kręgiem latarki.

Odnajdywał drogę przez mroczne tunele i schody – studnie niemal dotykanej czerni. Wreszcie dotarł do ciężkich, fantastycznie rzeźbionych drzwi, za którymi, czuł to, znajdowała się krypta ze złotem ukrytym przez dawnych wyznawców. W kilku miejscach przycisnął do nich klejnot – ropuchę i wreszcie drzwi stanęły otworem.

- A skarb? – przerwałem niecierpliwie.

Roześmiał się, jakby kpił sam z siebie.

- Nie było tam żadnego złota, żadnych szlachetnych kamieni, nic... - zawahał się. –Nic, co mógłbym zabrać ze sobą.

Znów jego opowieść stała się mglista i niespójna. Zrozumiałem, że opuścił świątynię w pośpiechu nie szukając już dalej domniemanego skarbu. Chciał zabrać ze sobą mumię, aby – jak twierdził – ofiarować ją jakiemuś muzeum, lecz gdy wyszedł z podziemi, nie mógł jej znaleźć. Przypuszczał, że jego ludzie, lękając się takiego towarzystwa w drodze na wybrzeże wrzucili ją do jakiejś groty czy szczeliny.

**- I tak – zakończył – jestem znowu w Anglii, nie bogatszy niż wtedy, kiedy z niej wyjeżdżałem.**

**- Ma pan klejnot – przypomniałem mu. – Z pewnością jest to rzecz o dużej wartości.**

**Spojrzał na kamień bez zachwyty, lecz z jakąś niemal obsesyjną zachłannością.**

**- Czy sądzi pan, że to rubin? – spytał.**

**Pokręciłem głową.**

**- Nie umiem powiedzieć, co to może być.**

**- Ja także nie. Ale niech pan pokaże książkę.**

**Powoli przewracał grube kartki i czytał poruszając wargami. Czasem kręcił głową, jakby zdziwiony, aż wreszcie jakiś fragment na dłuższą chwilę przykuł jego uwagę.**

**- Jakże głęboko wniknął ten człowiek w sprawy zakazane – powiedział wreszcie. – Nie dziwię się, że spotkał go tak niezwykle i tajemniczy koniec. Musiał przeczuwać swój los... tutaj ostrzega, by ludzie nie starali się budzić rzeczy uśpionych.**

**Na kilka chwil zamyślił się.**

**- Tak, rzeczy uśpione – mruknął. – Na pozór martwe, tak naprawdę leżą tylko czekając na jakiegoś ślepego**

**głupca, który przebudzi je do życia... Powinienem był dokładniej przeczytać Czarną Księgę... i powinienem zamknąć drzwi, gdy opuszczałem kryptę... Ale mam klucz i zatrzymam go, nawet wbrew piekłu.**

**Ocknął się z zadumy i właśnie zamierzał coś do mnie powiedzieć, gdy nagle przerwał mu dobiegający skądś z góry dziwny dźwięk.**

**- Co to było? – spojrzał na mnie.**

**Pokręciłem głową. Podbiegł do drzwi i krzyknął na służącego. Mężczyzna, dość blady, pojawił się w chwilę później.**

**- Byłeś na górze? – warknął Tussman.**

**- Tak, proszę pana.**

**- Słyszałeś coś? – pytał dalej szorstko groźnym, niemal oskarżającym tonem.**

**- Słyszałem, proszę pana – odrzekł służący z wyrazem niepewności na twarzy.**

**- A co słyszałeś?**

**- No więc, proszę pana – mężczyzna uśmiechnął się niepewnie – obawiam się, że uzna pan za kogoś niespełna rozumu, ale szczerze mówiąc brzmiało to dokładnie tak, jakby koń chodził dookoła dachu.**

**W oczach Tussmana błysnął płomień całkowitego szaleństwa.**

**- Ty głupcze! – ryknął. – Wynoś się stąd!**

**Służący cofnął się zaskoczony, a Tussman schwycił połyskliwy kamień w kształcie ropuchy.**

**- Byłem durniem! – krzyczał oszalały. – Za mało przeczytałem... i powinienem zamknąć drzwi... ale, na Boga, klucz jest mój i zatrzymam go wbrew człowiekowi czy diabłu!**

**Z tymi niezwykłymi słowami odwrócił się i popędził na górę. Po chwili drzwi na piętrze trzasnęły głośno. Służący zastukał tam bojaźliwie, lecz usłyszał tylko wulgarne polecenie, by się wyniósł, a także ostro sformułowaną groźbę, że Tussman zastrzeli każdego, kto spróbuje wdrzeć się do pokoju.**

**Gdyby nie było już tak późno, bez wahania opuściłbym ten dom, byłem bowiem przekonany, że mój gospodarz stracił rozum. W tej sytuacji jednak udałem się do pokoju, który wskazał mi wystraszony służący. Zamiast się położyć, otworzyłem Czarną Księgę w miejscu, gdzie czytał ją Tussman.**



**Jeżeli ten człowiek nie był szaleńcem, to jedna rzecz zdawała się oczywista – w Świątyni Ropuchy spotkał się z czymś nienaturalnym. Niezwykły sposób otwarcia drzwi ołtarza poraził jego ludzi, a w podziemnej krypcie Tussman znalazł coś, czego nie spodziewał się tam zobaczyć. Przypuszczam, że był ścigany przez całą drogę z Ameryki, a powodem tego był ów klejnot, który nazywał kluczem.**

**Starałem się znaleźć jakieś wskazówki w tekście von Junzta, jeszcze raz przeczytałem więc o Świątyni Ropuchy, o tajemniczej preindiańskiej rasie, która ją zbudowała, i o ogromnym, rechoczącym, zbrojnym w macki i kopyt potworze, któremu ci ludzie oddawali cześć.**

**Tussman mówił, że kiedy pierwszy raz przeglądał księgę, zbyt wcześnie przerwał czytanie. Zastanawiając się nad tym niezrozumiałym stwierdzeniem natrafiłem na fragment, który tak go wzburzył, zaznaczony przez niego paznokciem. Z początku wydał mi się jeszcze jedną mętną wypowiedzią von Junzta, tekst bowiem mówił po prostu, że bóg świątyni jest tej świątyni skarbem. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie wszystkie implikacje tej uwagi i zimny pot zrosił mi czoło.**

**Klucz do skarbu! A skarbem świątyni jest jej bóg! A rzeczy uśpione mogą się przebudzić, gdy otworzy się drzwi ich więzienia! Poruszony straszną myślą skoczyłem na równe nogi i w tej samej chwili coś trzasnęło wśród nocnej ciszy, po czym straszny, śmiertelny krzyk ludzkiej istoty rozdarł mi uszy.**

**W jednej sekundzie wybiegłem z pokoju. Kiedy gnałem po schodach na górę, słyszałem dźwięki, które kazały mi zwątpić we własne zdrowe zmysły. Stałem pod drzwiami Tussmana i drżącą ręką starałem się przekręcić gałkę. Pokój był zamknięty na klucz. Zawahałem się i wtedy z wnętrza dobiegł ohydny, wysoki rechot, a potem odrażając odgłos jakby chlupotania, jakby jakieś wielkie, galaretowate cielsko przepychało się przez okno. Potem dźwięki ustały i mógłbym przysiąc, że słyszałem poszum gigantycznych skrzydeł. Potem cisza.**

**Z wysiłkiem opanowałem rozdygotane nerwy i wyważyłem drzwi. W powietrzu unosił się niby żółta mgła przemożny, ohydny smród. Poczulem mdłości. Pokój przypominał pobojuwisko, lecz jak stwierdzono później, nie zginęło nic oprócz owego purpurowego klejnotu, rzeźbionego w kształt ropuchy, który Tussman nazywał**

**kluczem. Nigdy go nie odnaleziono. Ramę okienną, pokrywał nieopisanie wstrętny śluz. Pośrodku, ze zmiażdżoną, spłaszczoną głową leżał sam Tussman, a na krwawych szczątkach twarzy i czaszki był wyraźnie widoczny odcisk wielkiego kopyta.**

## **PAMIĘCI ROBERTA ERWINA HOWARDA**

**Nagła i niespodziewana śmierć, która 11 czerwca (1936) zabrała Roberta E. Howarda, autora opowieści fantastycznych o niezrównanej wyrazistości, był dla weird fiction ciosem największym od czasu, gdy cztery lata temu odszedł od nas Henry S. Whitehead.**

**Howard przyszedł na świat w Plaster, w Teksasie, 22 stycznia 1906 roku, na tyle dawno, by być jeszcze świadkiem ostatniego etapu kolonizacji południowego zachodu – stopniowego zasiedlania rozległych równin wzdłuż południowego biegu Rio Grande, widowiskowego rozkwitu przemysłu naftowego i rodzących się z tego boomu miasteczek. Ojciec, który zresztą przeżył swego syna, był w tym regionie jednym z pierwszych lekarzy. Mieszkali we wschodnim i zachodnim Teksasie, zachodniej Oklahomie, zaś przez kilka ostatnich lat w Cross Plains niedaleko Brownwood w stanie Teksas. Dorastający w przygranicznych stronach Robert wczesnie stał się zwolennikiem panującej tu surowej męskiej tradycji. Jego znajomość historii i folkloru stron rodzinnych była**

niezwykle głęboka, zaś zawarte w prywatnych listach opisy i wspomnienia dają pojęcie o elokwencji i sile wyrazu, które – gdyby żył nieco dłużej – zapewniłyby mu sukces w dziedzinie literatury. Jego rodzina wywodzi się z owej wybitnej grupy osadników szkocko – irlandzkiego pochodzenia, a większość jego przodków przybyła do Georgii i Karoliny Południowej już w osiemnastym wieku.

Howard zaczął pisać w wieku lat piętnastu, a swe pierwsze opowiadanie, „Sper and Fang”, wydrukował trzy lata później, w lipcowym numerze „Weird Tales” z 1925 roku. Był wtedy studentem w Howard Payne College w Brownwood. Szersze uznanie uzyskała wydrukowana w tym samym piśmie w kwietniu 1926 roku nowelka „Wolfshead”. W sierpniu 1928 ukazało się pierwsze z opowiadań o Solomonie Kane, angielskim purytaninie, którego cechowały nieprzeparta skłonność do pojedynków i niezbyt dobrze ukierunkowane pragnienie naprawienia wszelkich krzywd. Losy rzucały Kane’a w najdziwniejsze strony, a przede wszystkim do zamieszkałych przez cienie ruin dawnych, zapomnianych miast, leżących w gąszczu afrykańskiej dżungli. W tych właśnie opowieściach zaprezentował Howard to, co później stało się jednym z

jego największych osiągnięć – opisy olbrzymich, megalitycznych miast ze świata starszego niż nasz świat, gdzie wokół mrocznych wież i labiryntów podziemnych skarbców unosi się aura przedludzkiej grozy i magii. Żaden inny pisarz nie mógł mu w tym dorównać. Historie te stanowiły też świadectwo zamiłowania i kunsztu w szkicowaniu krwawych scen, tak typowych dla jego dzieł. Postać Solomona Kane’a, podobnie jak i wielu innych bohaterów Howarda, została poczęta jeszcze w dzieciństwie autora, na długo przed tym, nim pojawiło się pierwsze o nim opowiadanie.

Będąc zawsze pilnym badaczem historii Celtów, jak też innych etapów odległej przeszłości, w 1929 roku zaczął Howard opowiadaniem „Królestwo cieni”, wydanym w sierpniowych „Weird Tales”, swą serię opowieści o świecie prehistorycznym, która szybko przyniosła mu rozgłos. Początkowe opowiadania dotyczyły niezwykle odległego okresu ludzkiej historii, czasów, gdy Atlantyda, Lemuria i Lemuria Mu znajdowały się jeszcze ponad falami oceanów, a cienie zamieszkujących te krainy przed człowiekiem – węży były jeszcze żywe. Główną postacią był Kull, władca Valuzji. W grudniowych „Weird Tales” z 1932

roku ukazał się „The Phoenix on the Sword” – pierwsza z opowieści o Conanie Cymerianinie, które wprowadziło czytelników w późniejszy okres prehistorii, w świat sprzed około 15 000 lat, tuż przed pierwszymi zapiskami kronik. Zasięg i nienaganna spójność świata Cofana, uderzające w późniejszych opowiadaniach, są dobrze znane wszystkim miłośnikom fantasty. Dla własnej wygody przygotował nawet Howard bardzo dokładne pseudohistoryczne opracowanie, świadczące o jego inteligencji i wielkiej wyobraźni.

W międzyczasie powstało wiele opowieści o dawnych Piktach i Celtach, w tym także godne uwagi serie traktujące o wodzu Branie Mak Mornie. Niewielu zdoła zapewne zapomnieć straszliwą, przemożną siłę owego arcydzieła makabry, jakim była „Zemsta spod ziemi”, wydrukowana w „Weird Tales” w listopadzie 1932. Wiele wspaniałych utworów znalazło się także poza powiązаныmi tematycznie ze sobą seriami. Wśród nich trzeba wspomnieć pamiętny cykl „Skull Face” oraz kilka godnych uwagi opowieści, których akcja toczy się współcześnie. Należy do nich np. „Black Canaan”, gdzie w autentycznym lokalnym kolorycie naszkicował Howard przejmujący

obraz grozy, skradającej się poprzez porośnięte mchem, nawiedzane przez cienie, rojące się od węży bagna dalekiego południa Ameryki.

Również poza obszarem fantasty Robert E. Howard był zadziwiająco płodny i wszechstronny. Jego zainteresowanie sportem – rzecz powiązana, być może, z zamiłowaniem do pierwotnych konfliktów i walki sił – doprowadziło do powstania postaci zwycięskiego żeglarza Steve’a Costigana. Jego przygodami, przeżywanymi w wielu dalekich i egzotycznych krajach, zachwycali się czytelnicy licznych magazynów. Nowele traktujące o orientalnych bitwach wyraźnie dowodziły talentu Howarda w opisie romantycznych fanfaronad, zaś coraz liczniejsze historie z Dzikiego Zachodu, jak choćby cykl „Breckinridge Elkins”, wskazywały na rosnące skłonności – i zdolności – eksploatawania tematów, które znał z bezpośredniego doświadczenia.

Poezja Roberta E. Howarda – niesamowita, pełna przygód czy bitew – jest nie mniej niż proza godna uwagi. Prezentuje prawdziwego ducha ballad i epepei, wzmocnionego pulsującym rytmem wiersza oraz potężną siłą wyobraźni autora, nie mającą sobie równych. Wiele z



tych wersów, jako „cytaty z dawnych tekstów”, stało się mottami kolejnych rozdziałów powieści. Należy żałować, że nie został nigdy wydany żaden zbiór poezji Howarda. Miejmy nadzieję, że ukaze się jeszcze – pośmiertnie.

Podobnie jak dzieła, także i charakter Roberta E. Howarda był niezwykły. Pisarz ten nade wszystko upodobał sobie prosty, dawny świat barbarzyńców lub pionierów, gdzie odwaga i siłą liczyły się bardziej od przebiegłości i intryg, gdzie nieustraszeni, twardzi ludzie walczyli i przelewali krew, nie prosząc wrogiej natury o łaskę. Ta filozofia znajduje odbicie we wszystkich jego utworach i z niej to właśnie czerpią nie swą żywość, którą znaleźć można u niewielu tylko mu współczesnych. Nikt bardziej przekonująco niż Howard nie potrafił pisać o przemocy i bólu. Jego opisy bitew znamionuje instynktowne wyczucie taktyki, które w czasach wojny mogłoby go wynieść wysoko. Prawdziwy talent Howard był zapewne większy, niż mogliby przypuszczać czytelnicy i wydawcy. Gdyby żył, z pewnością zaznaczyłby swe miejsce w poważnej literaturze epopeją ze swego ukochanego południowego zachodu.

Trudno dokładnie określić, co tak wyraźnie wyróżniało opowiadania Howarda, prawdziwy jednak ich sekret polega na tym, że w każdym z nich – niezależnie od tego, czy jest ono w sposób oczywisty komercyjnie, czy nie – autor zawarł coś z siebie. Był on wyższy ponad wszelkie względy finansowe. Nawet gdy pozornie podporządkowywał się swoim nastawionym na zysk wydawcom i krytykom, jego wewnętrzna szczerść i siła przebijały się wyciskając piętno na wszystkim, co wychodziło spod jego pióra. Niezwykle rzadko trafiały się u niego postacie czy sytuacje pozbawione rumieńców życia. Nim skończył bowiem pisać, nabierały one zawsze cech prawdziwości, realności. Niezależnie od powszechnej polityki wydawniczej, zawsze czerpał Howard z własnego doświadczenia i wiedzy o życiu, nigdy zaś z gotowych skostniałych schematów. Nie tylko celował w opisach zmagania i rzezi, lecz był także niemal jedynym, który potrafił stworzyć realne, poczucie upiornego lęku i strasznej niepewności. Żaden pisarz, choćby zajmował się najskromniejszą dziedziną, nie może być naprawdę dobry, jeśli swej pracy nie traktuje poważnie. Taki był właśnie Robert E. Howard nawet wtedy, kiedy mu się zdawało, że

jest inaczej. Fakt, że ten wspaniały artysta znika z tego świata, podczas gdy tłumy gryzipiórków wciąż produkują bezmyślne upiory, wampiry, statki kosmiczne i okulistyczne zbrodnie, jest doprawdy smutnym dowodem ironii wszechświata!

Howard, znający tak wiele etapów życia na południowym zachodzie, mieszkał ze swymi rodzicami w półrolniczym miasteczku Cross Plains w stanie Teksas. Pisarstwo było jego jedynym zawodem. Jako czytelnik wybierał zwykle poważne dzieła naukowe, traktujące o tak odległych od siebie dziedzinach, jak dzieje południowego zachodu Ameryki, Wielka Brytania i Irlandia czy Wschód i Afryka w czasach prehistorycznych. W literaturze przedkładał męstwo nad przebiegłość i całkowicie odrzucał modernizm. Wyznając liberalne poglądy polityczne, był zaciekle wrogiem niesprawiedliwości społecznej. Z rozrywek najwyżej cenił uprawianie sportów i podróże, przy czym te ostatnie były dla niego zawsze okazją do wysyłania cudownych listów, w których opisy przeplatane były gęsto refleksjami historycznymi. Humor nie należał do jego specjalności, chociaż Howard miał z jednej strony zmysł ironiczny, z drugiej zaś nieprzebrane rezerwy

serdeczności i wesołości. Miał wielu przyjaciół, lecz nie należał do żadnej z klik literackich i gardził wszelkimi rodzajami „afektacji artystycznej”. Cenił raczej siłę ciała i ducha niż wyczyny intelektualne. Z wieloma pisarzami fantasy wymieniał częste i obszernie listy, nigdy jednak nie spotykał się z nimi osobiście. Wyjątkiem był niezwykle utalentowany E. Hoffman Price, którego twórczość wywarła na Howardzie bardzo silne wrażenie.

Robert E. Howard miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i masywną budowę urodzonego wojownika. Był też, poza celtyckimi, błękitnymi oczami, bardzo ciemnej karnacji. W ostatnich latach ważył średnio 90 kilogramów. Zawsze cenił surowy, prosty styl życia i – nieprzypadkowo – przypominał swego własnego słynnego bohatera – Conana Cymerianina. Śmierć tego zaledwie trzydziestoletniego pisarza stanowi poważny cios dla literatury fantasy.

Biblioteka Roberta Howarda została przekazana do Howard Payne College, gdzie stać się ma załączkiem zbioru książek, listów i rękopisów – Kolekcji Poświęconej Pamięci Robert E. Howarda.

*Howard Phillips Lovecraft*

